

# KWAMA

LUBLIN

31.III.1959

Nr 6 (172)

ROK XXVI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: Drogi i rozdroża krytyka • Wspomnienie o Bernadocie • Tragiczna walka lubelskich drukarzy • W siedzibie Lwa Tolstoję • Poeta najsmutniejszy • Tajemnice abstrakcji • Romantyzm w malarstwie polskim • Świadomy prymitywizm i in.

## RZYM na codzień

EWA  
SZELBURG-ZAREMBINA

II.

O ŚWIĘTACH — KRÓTKO  
O BEFANIE — JESZCZE KRÓCEJ

Już od tygodnia nie tylko takie popularne kolory handlu jak CIM, Rina-chente, ale i niezliczone pomniejsze domy towarowe, magazyny i sklepiki, kramiki i kramy zmobilizowały swe zapasy i rozlokowały je jak wojska przeznaczone na podbój ludzkich apetytów, a co za tym idzie — „denarów” klienta.

Odzież, żywność, sprzęt — to, co może zaspokoić niezbędne potrzeby, oraz to, co służy użyciu, zbytkowi, nierozumnej chęci błyszczenia nad innymi, choćby kosztem innych, wszystko tu jest do nabycia, wszystko do kupienia. Nie ma w te gorączkowe dni zarówno odpoczynku od palącej chęci zysku jak i od gnębiącej troski o nadmierne wydatki.

Ale jest też coś jeszcze bardzo dziecinne, szczerza prosta uciecha otwarcie uzewnętrzniona.

Aż dziw, że tyle z dziecka jest w nas, dorosłych. I trochę smutne to jest jednocześnie, że tak oto skwapliwie umyka dorosły człowiek w dziecinny światek błyskotek i baśni od świateł, jak w niepomiernym mozołu fizycznym i wysiłku umysłowym buduje swemu — i przyszłym pokoleniom. Niewątpliwie podważa to we mnie zaufanie do obecnego i przyszłego świata, ale co tam! naśladujemy w te dni innych, mniej sceptycznych i bawmy się razem z rzymską ulicą, od ulicy do ulicy, chroniąc się w razie potrzeby pod parasole, ewentualnie pod mokre mury, co w tym wypadku będzie równoznaczne z naszym polskim: „wpadł z deszczu pod rynek.”

Kto się tu w Rzymie przejawia nie-pogoda? Wiadomo wszem, że Peverno jest właśnie od piodzi i tramontany. Mamy zimę, mamy więc deszcz, który nas moczy i mamy na zmianę wiatr, który przewlewa nas do szpiku i zęb. Tak! odwieczny porządek rzeczy.

Święta zaś, Natale, Nuovo Anno, Tre Re i Befania — są świętami i o tym należy pamiętać przede wszystkim.

Gospodynie domu pamiętają. Świat może się zaważyć, ale jeśli nie cała ludzkość zniknie z powierzchni, to na jakimkolwiek miejscu ziemi pozostałe kobiety, nawet te najrozsądniejsze, te wyzwolone od „drzewa k”, w okresie uświęconym wyrzajem będą miały się wzdorzyć zakupów. Na zasadzie Via Nazionale, Placu Konstytucji, ulicy

Gorkiego, rue Mauberge, można już dziś przewidzieć, co się będzie działo w czasie świątecznego tygodnia na trasie między Terra a Venus, Marssem czy którąś jeszcze dalszą planetą dobrze zaopatrzoną w atrakcyjny dla ziemian towar.

Wędka na najoporniejsze, najprzezorniejsze rybki są przedświąteczne masowe wyprzedaje „vendita a prezzi speciali”. Mało która „ewa” oprze się węzowej wymowie przekreślonych publicznie starych cen zastąpionych nowymi, chociażby pamięć podszeptwała jej, że... Ale i tym razem bądźmy troszeczkę dziećmi i pozwólmy sobie uleć złudzeniu, że — oszczędziliśmy sto lirów... wydając niepotrzebnie tysiąc.

Wydać jest na co. Pomysłowość reklamy jest zadziwiająca. Prawda, że w strojeniu tutejszych wystaw nie ma paryskiej lekkości, oryginalności i nieprześcignionego dotąd francuskiego gustu: połączenia niespodzianki, harmonii i umiaru. Są one podobne raczej do solidnych londyńskich — prezentują obfitość, nadmiar obfitości bez wyboru.

Chciałoby się powiedzieć, że „wszystko, co żyje”, w szufladach, gablotach, na półkach, w piwnicach i w składach wyskoczyło, wysnuło się, wytoczyło, aby się gnieść za wystawową szybą w równie przesadnym tłoku neonów. Możesz być pewien: czego nie widzisz wyłożonego na wystawie, tego nie znajdziesz wewnątrz.

Najzuchwalsze, najbardziej zaboreze w stosunku do przechodniów zarówno dużych jak i małych — są zabawki. To one piszcza, strzelają, kręcą się w kółko, huśtają się, przesywają cię wzrokiem wabią uśmiechem, śmieją minami. Te, którym nadano najdziwniejsze kształty zwierzęce, dźwigają ponadto w swym wnętrzu najdziwniejszego smaku słodycze. (Nigdzie na świecie nie ma chyba tylu amatorów słodyczy, co w Rzymie! Przynajmniej odnosi się takie wrażenie na widok niezliczonej ilości „pasticcieri”, „gelaterii” i innych tego rodzaju przybytków łakomstwa. Może w tym jest jednak i mądrość ludzkiego organizmu, może w takim kapryśnym, nienajzdrowszym klimacie człowiek bezwiednie szuka potrzebnej mu pożywki?).

Ale oto zbliżamy się do dnia wigilijnego. Poznać to najłatwiej po gęsto rozkwitłych straganach z kwiatami. Rzym lubi kwiaty, ma ich wiele na ulicznych stołkach — mniej w kwiatarniach. A jednak kwiaty są drogie. I rzadko można kupić tak świeże, żeby cieszyły nas przez dłuższy czas w domu. Delikatna mimoza kurczy się przy zmianie temperatury, fiołki o sztucznie wianych dla dodania im długości łodyżkach, nie pachną, paki róż rozwijają się za szybko i gwałtownie opadają. Anemony i chryzantemy wykazują najlepszą przystosowalność. Także narcyzy i goździki. Ale tuż przed świętami na pierwsze miejsce w kwiatarniach wysuwają się azalie i storczyki, na straganach gałęzie uperłonej jemioły i atolużego kolorami czerwonych liśóg ostrokrzewu, i jeszcze kwiat kwiatów czerwone jak krew legendarna Stella Natale — Gwiazda Narodzenia.

A to co? to na sznurkach przelęganych od straganu do latarni, od latarni do platanu i z powrotem do straganu? Drzy, migocze srebrząc się i złoćąc w drżącym migotliwym słońcu. Na wiotkich gałązkach, na cienkich patyczkach w szą, obracając się z

wiatrem, posrebrzone, pozłoczone plaskie, okrągłe listeczki.

„Pamięć moja, tak kiedyś indziej zawodna, robi skok wstecz wielotysięcznokilometry: jestem znów w Szanghaju i przed oczami szeleszczą mi cienkutekie blaszki, papierowe krążki srebrnej i złotej barwy — pieniążki umowne, sakralna ofiara dla bóstw.

Tymczasem zapach smażonej oliwy wnikać w ciężkie od wilgoci powietrze dodaje jeszcze jedno wspomnienie do bukietu niezapomnianych wspomnień chińskich. (Przybędzie ich tu zresztą później wiele, tych nagłych skojarzeń na tle nieoczekiwanych podobieństw).

Rozproszoną uwagę skupiają szklane świece dla. Zatrzęsienie, od paru dni zjawionych, kolorowych kul. Małe, małe, duże, większe i tak olbrzymie, że ich rozmiar przekracza już pojęcie ozdoby choinkowej i w ogóle ozdoby! Nie tylko też temu celowi chyba służą? Są czymś w rodzaju usamodzielnionego symbolu, czego? Kulistości światła, jego kruchości i świetności razem?

„Nob! me tazer!” i „kuo mnie, będę twoją własnością”. Lecz przede wszystkim zdają się wołać: „Patrz na mnie! Blyszcz! Blyszcz!”

Blyszczy dłoń wszystko. Na przykład — flaszki, całe armie flaszek. Wiele ich, pękatek, wysmukłych, a także o uduwnionych, wymyślnych kształtach, spoczywa uroczyście po trzy, po pięć na posłaniach z jedwabistych bibulek, z atlasu w specjalnych firmowych, ozdobnych pudrach, skrzynkach, koszykach. Tradycyjnie to dary posyłane do przyjaciół, znajomych, do wszystkich, którym chce się okazać dowód pamięci.

Astronomiczna ilość paczek z trunkami przewyższa jednak inny specjal: panettoni, ciasto świąteczne sprzedawane w zręcznym i ponętym opakowaniu, a smakem i wyglądem przypo-

minające nasze pyszne wielkanocne baby (te przedwojenne, domowe, pieczone w chlebowym piecu).

Panettoni jest obowiązujące! Panettoni jest dla wszystkich — od skromnych, małych, dostępnych dla każdej kieszeni, aż do otoczonych gromadą dodatkowych i dodatkowo kosztownych ozdób i smakotyków.

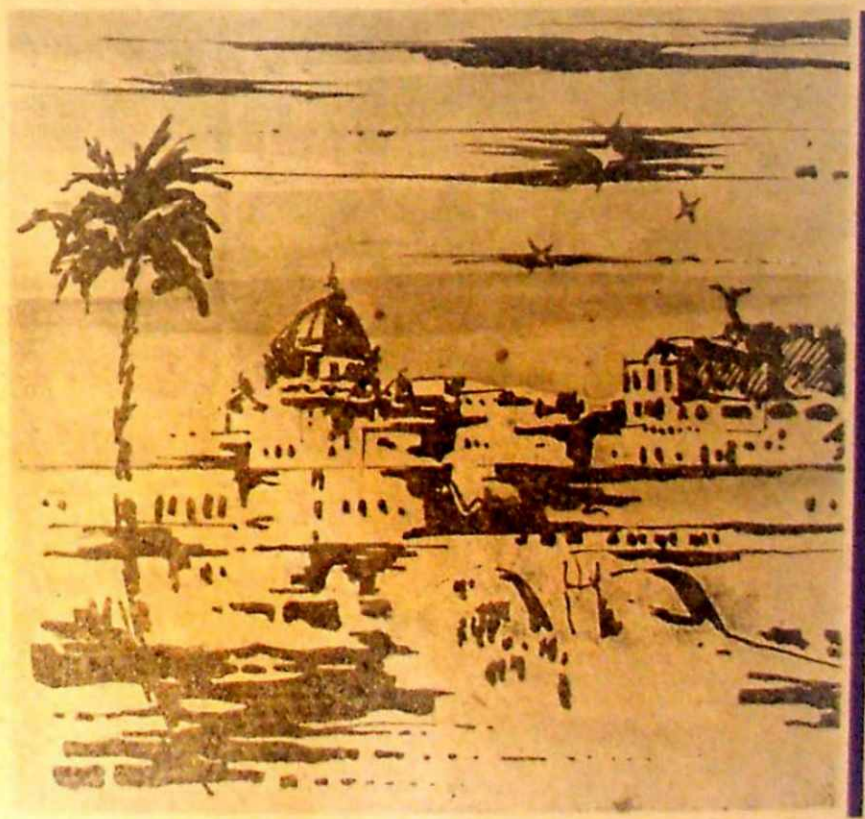
Już na parę dni przed wigilią nie spotyka się prawie przechodnia, który nie pomachałby n ebieskim kartonowym pudełkiem wydzielającym zapach wanilli, migdałów i innych zachwycających nozdrza i podniebienie ingrediencji.

Tak więc do zapachu smażonej oliwy i aromatu czarnej kawy dołącza się zapach świeżego ciasta. Ale oto nad ulicą zaczyna dominować trzeci zapach — najbardziej mi swojski — zapach żywy i igliwia.

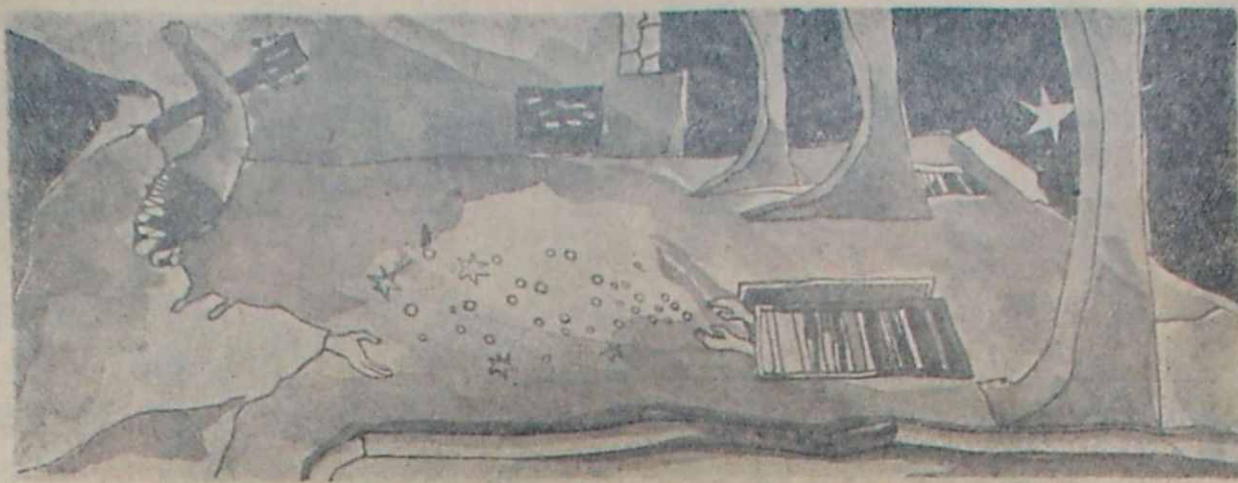
Choinki! Choinki! Teraz one nadają wygląd m-astu. Leśne, dzikie, sprężyste. Wywołują tęskne myśli o śniegu, skrzypiącym mrozie, nocy gwiazdzistej... I o tym, czego w całym Rzymie nie znajdziesz, choć szukasz: o ciszy i spokoju. Gdy obwieszona świeciami świąteczne drzewka na wystawach zbiedną już nieco przed świętem... gdy po mieszkańcach za okiennicami całym światem już zgasną — małe zielone śwereczki iglaste wciąż jeszcze będą skrzyć się i migotać elektrycznymi świeczkami przy każdej stacji benzynowej dotrzymując towarzystwa odzianym n ebiesko jak anioły i jak anioły młodemu i pięknym samotnym chłopcom z obsługi firm Esso, Mobil oil, Shell Aquila...

Nie byłoby jednak pełnego opisu świąt, gdybyśmy nie wspomnieli o ważnej osobie, która choć zależnie od krajów, w jakim się zjawia, nosi różną imiona (Gwiazdor, Père Noel, Dzia-

(Dokończenie na str. 2)







(Dokończenie ze str. 1)

dek Mróz, święty Mikołaj), jest wszędzie tym samym rozdawcą niespodzianek.

Tu nasz rzymski Babbo Natale mnoży się w oczach, dwój, troj, ustokrotnia. Gdziekolwiek się ruszysz po mieście, widzisz jego czerwony szpiczasty kaptur, czerwony płaszcz oszyty białym futrem, siwą długą brodę i wór jakby przyrośnięty do krzepkich pleców. Jeśli staruch Babbo Natale jest wygodnicki, dary dźwiga za nim potulny kłapouch osiołek. Jeśli Babbo Natale pragnie zwrócić na siebie uwagę, zakłada u wejścia do któregoś z wielkich domów towarowych prawdziwą jurtę eskimoską z żywym czarnobiałym pingwinem i... z oswojoną, Bogu ducha winną, sarenką, która cierpliwie podskubuje chuda garstkę siana, aby choć trochę odwrócić się i odpocząć od ciekawości gapiów.

Ciekawość bez opamiętania pcha tłumy z ulic w ulice.

Patrzcież, ta ulica przeniosła się w rzymskie mury prosto z baśni Andersen! Jej dekoracja jest czarująca: wyteplony obraz najpiękniejszej, nigdzie naprawdę nie istniejącej Zimy. Przez całą długość ulicy, od pierwszego piętra (trzeba zostawić u ziemi trochę wolnej przestrzeni samochodom tyrannizującym życie każdego w Rzymie Włocha i nie-Włocha! Więc — od pierwszego piętra aż po szczyty dachów i kominów fruwiąją gęsto gwiazdki śniegu... Takie, jakie widziałeś dzieckiem na rękawie matczynej kożuszki, a młodzieńcem na promieniu blond włosów osiadłe i tające pod nieśmiałym dotknięciem twoich gorących ust. Takiejąsią biel i przejrzystości i takiego kunsztownego rysunku, tylko że zolbrzymiały fantastycznie! Nieziemsko!

Ale czy nie uprzedziłam was, że jak Andersenowski Kay z Gardą wkroczyliśmy do pałacu królowej Zimy? karnewalowej oczywiście.

Patrz! Patrz! Ci ludzie, tam, z drugiego, trzeciego i czwartego piętra, wychylają się z okien swoich mieszkań, żeby przyjrzeć się nam, tym w dole ulicy, przez tańczący im przed nosem, neonami prześwietlony, nylonowy, plastikowy śnieg!

Auguri! Auguri, obywateli Romy. Buone feste e felice Anno Nuovo!

Nikt nie myśli o odpoczynku. Tyle towarów takich i siadkich! Tyle pieniędzy do wydania! Tyle pieniędzy do zarobienia! Tyle pokus! Tyle wahań! Prędzej! Prędzej!

Światła, kolory, szum tłumy ludzi. Szum tłumy aut. Szalona woloinstrumentowa orkiestra.

Wtem!... Co to za głos tak bardzo rażący dziką melancholią i ubóstwem w tej zgranej orkiestrze? Poznałeś? Kobza. Rozgrząszcza tłum, na pewniaka szukasz oczami muzykanta-górala.

Patrz.

Chłop suchy, przyodziany owczą wełną, owędzony owczym smrodem, długonogi, długowłosa, pasterz gniotący pod ramieniem kozę mięch, dmuchający z piszczałki, zapatrzony przed siebie poprzez ludzi i rzece, i mury. Idzie grając i depcząc kamienie najwspanialszej, najbogatszej ze wspaniałych i bogatych ulic wspaniałego, bogatego miasta, jakby dreptał po jałowym zbocz kamienistego pastwiska.

Nie widzi rąk wyciągających się nieskwapliwie z drobną, jakże drobną monetą. Toteż drugi mizerak za nim idący w równie połączonych portkach i zdartym obuwiu, to on zbiera w kapeluszu skąpe datki. Co za dziwna reklama...

W wigilię rano budzi nas burza grzmotami.

Pocziwa ulewa wgrzęła do rynsztoków i dziur co drobniejsze śmieci (grubszym i ona nie dała rady).

W pierwszy dzień Narodzenia słońce na niebie czyste jak dukatowe złoto. Snują się ludzie w słońcu od kościoła do kościoła, oglądają wszędzie wystawione szopki. Przed kościelnymi drzwiami żebracy. Na kościelnym dziedzińcu w czerwonym kapturze Babbo Natale fotografuje się za małą opłatą z każdym, kto sobie tego życzy, zupełnie jak na Krupówkach nasze zakopiańskie „misie” spod Giewontu.

Ostatni dzień starego roku. Wyprzedane skrzynki z flaszkami, wyprzedane panettony, wyprzedane farbowane i malowane świece, wyprzedane co ładniejsze kwiaty, pozmieniane (kiedy? nocą?) wystawy.

Walęsz się po ulicy. Ziębniesz — dmucha ostro tramontana. Wstąpiłeś już chyba do trzech czy czterech barów na kawę, którą wypileś na stojąco, parząc nią, jak piekielną smołą, usta, ale mając niebo w odmłodzonym nagle, w silnie bijącym sercu! Nie, piątą raz pić kawy nie będziesz. Kup dla rozgrzania zziębniętych palców (i wspomnień!) papierowy rożek z pieczonymi kasztanami. Ot, tu kucnął siwowłosa sprzedawca tej porcji rozkoszy za jedne 50 lirów. Mały jak rzeszoto blaszany piecyk dymi.

Przepraszający waty uśmiech chudej, pomarszczonej twarzy, naklutej dawno niegolonej siwą szczecina tłumaczy się, że przed minutą tamten oto małe zakupił całą porcję, aż dziesięć! maczastych, słodkich jak zmarznięty kartofel, brązowych kulek. „Warsztat pracy” — blaszane rzeszoto na drzewnych, żarzących się węgielkach nie może pomieścić jednorazowo więcej.

— Czy chiarissima signora zechce zaczekać, per favore?... i poparzone brudne palce, palce powykrzywiane reumatyzmem szybko, szybko dotykają pękających na żarze z cichym trzaskiem gorących brunatnych łupin.

„Poczekam. Na pewno poczekam, bracie rodzony, choć tak daleki bracie starego jak ty, chudego jak ty, trzęsącego się na północnym wietrze skończonego Wang, Tsju czy Lido, garbiącego zreumatyzowany grzbiet nad blaszanym piecykiem z pieczonymi patkami pod tysiącletnim cesarskim czerwonym murem na ulicy stolicy ludowych Chin, Pekingu.

Wieczorem uprzedzają nieświadomego nowicjusza zyczliwi a doświadczeni: tej nocy należy przechodzić ulicą czy placem trzymać się jak najdalej od domów. Nieostrożnemu przechodniowi może spaść nagle na głowę z któregoś tam piętra wyrzucona przez okno nie tylko butelka, półmisek, ale i kulawe krzesło, złamane żelazne łóżko, dziurawa umywalka i — sam święty Sylwester nie wie, co jeszcze! Zwyczaj tłumnego wyrzucania przez okna gromadzonych w ciągu całego roku zużytych i niepotrzebnych już gratów, tak do niedawna jeszcze praktykowany, widocznie się już przyczynił i nie widziałem, wyszedłszy na miasto, gromad poszukujących tych załobnych „skarbów”. Musiał to być wstrząsający widok, jeśli na samą myśl o tym człowiek dziś się wstrząsa. Potrzeba hałasowania jednak pozostała. I to hałasowania jak najbardziej zbiorowego, gromadnego.

Już od wczesnej nocy spokojne, ciche mieszkania tutejsze — wróż! Kulminacyjny punkt przyboru szaleństwa — północ. Ale jeszcze przez godzinę, dwie po północy ulice wypełnia brzęk kluczonego o chodniki i jezdnie szkieł. Jak poruszały się w tych warunkach nasze samochody? Tutejsze niewiele sobie robią z takimi ostrymi skutków noworocznych toastów — większość jeździ na pełnych gumach.

Minał Nowy Rok. Listonosz, śmieciarz, portier dostali swoje brzęczące

zyczenia (u nas doszedłby do ich liczby jeszcze kominiarz). Nie minął świąteczny nastrój.

Wszyscy, mali i duzi, czekamy na przyście Trzech Magów, a głównie na ich współtowarzyszkę czy też konkurentkę — Befanę.

Befana, chociaż w nocy wjeżdża na szczytce do komina, nie jest złą wiedźmą, jak Stręga. Befana to starucha o dobrym sercu i szczodrych rękach. Nic to, że powtarza gest trzech króli, którzy pierwsi obdarowali Dzieciątka w stajence. Betleem daleko a Befana blisko.

Znów utrapienie i szal ogólny z podarunkami. Nawet niegrzeczne dzieci dostają od Befany swoją porcję... kawałków węgla (rozumie się słodkiego). Befana nie może tak całkiem zasmucić nawet leniów i urwisów. Evviva Befana!

„Befania” to w rzeczywistości rodzaj ulicznego widowiska, któremu patronuje poczciwa staruszka z krainy fantazji, ani wiedząc jak bardzo została wykorzystana dla czysto merkantylnych celów.

Przeraźliwy, rozdzierający uszy wrzask klaksonów i hałas głońników dają od rana znać, że rozpoczęła się na mieście defilada co bardziej przedsiębiorczych firm i instytucji, przeliczujących się w pomysłach reklam i hałas.

Niezależnie od pogody tłumy wylęgają się na miasto. Kto może zdobyć stolik przed barem, cukiernią, trattorią na trasie pochodu — zdobywa stolik, kto występ muru, kto żelazną alarmową skrzynkę czy drabinkę, kto krawężnik jezdni... Dzieci szaleją, są wszędzie. Nawet pod samochodami.

Policjanci kierujący ruchem są dziś pełni najwyższych cnót, uważający, łagodni, pobłażliwi — oczywiście nie dla pieszych śmiertelników (ci się teraz nie liczą), dla poruszających się samochodami. Nie piesi bowiem, ale automobiliści będą w zastępstwie szczodrej Befany składali dary na skrzyżowaniach ulic i placach wokół wyniosłej, białourękawiczonej, czarnouniurowanej postaci, dekoracyjnie przepasanej przez pierś skórzany pasem o niepokalanej bieli.

Czego tam już nie ma wśród tych podarków piętrzących się jak góry Albańskie! Opłcione rafią butle Chianti, flaszki Frascati i mocniejsze trunki, pudła słodczy, puszki konserw, panetton wielkości niemal człowieka, żywe tłuste kapłony w klatkach, meble, gumowe materace...

Ludziska chodzą od piazza Venezia do piazza Hungaria i gapią się śmiejąc, dziwiąc, krytykując, chwalać. Wszystkie te od różnych firm, instytucji i prywatnych osób zwożone prezenty, w końcu pójdą do wspólnego podziału, każdy „stróż bezpieczeństwa” otrzyma swoją „dole”.

Zabawa trwa.

Zdarzają się różne nieprzewidziane incydenty. Siedzę akurat przy szeregówce zdobytych stolku w pobliżu monumentalnego pomnika Wiktora Emanuela, który może jako dzieło sztuki rywalizować z Pałacem Kultury (widocznie każde miasto musi mieć coś takiego). Popijam nieopatrznie zamówioną podłą herbatę w towarzystwie dwójga nielennich (dziesięć lat dziewczynka, cztery jej braciшек) gaszących pragnienie coca cola i słyszę ostry wydobywający się jakimś cudem nad zgłębki paradujących ciężarówek, autobusów, wielbłądów, czterokopytnych karoc dziewiętnastowiecznych — sygnał pogotowia straży pożarnej. Rzeczywiście czerwony wóz z „pompierniami”. Bynajmniej nie dla uświetnienia widowiska. Wezwani do pożaru. Pał się gdzieś? Więc co? Nikt tedy w tym ścisłu nie przejeżdża. Utknąłby nawet sam święty Florian, patron od ognia, ze swoim

# Drugi i rozdroża krytyka

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Dwa obfite tomy szkiców literackich Aleksandra Rogalskiego \*) wyszły spod pióra krytyka niezauważanego na ogół w codziennych dyskusjach i sporach pisarzy z recenzentami i eseistami. To niezauważenie i lekceważenie wieloletniego trudu (Rogalski jako krytyk debutował już przed wojną) autora „Literatury i cywilizacji” wystawia zresztą współczesnikom owych sporów wyjątkowe *testimonium pauperitatis*: Rogalski bowiem dysponuje niepospolitą znajomością współczesnej i dawnej literatury europejskiej i dyskusja z nim wymaga co najmniej analogicznej wiedzy od partnera. A z tą wiedzą, jak wiemy chociażby po perypetiach dwóch Zygmunów: Lichnika i Kałużyńskiego, nie jest u naszych, szczególnie młodych krytyków, najlepiej; pogarda dla genetycznego i historycznego ujmowania pisarzy i utworów, jaka od wielu lat hula sobie po szpaltach naszych czasopism literackich, ma tajemne źródło właśnie w lukach literackiego wykształcenia sędziów współczesnej poezji, prozy, a nawet dramatu.

Wynikałoby z tego, że Rogalski prezentuje dosyć anachroniczny typ krytyka — i tak jest rzeczywiście. Przy przeglądaniu stronice jego książek przypominają się przecież nie Sandauer i nie Kott, nie mówiąc już o ich pomniejszych naśladowcach, ale rodem z XX-lecia, z Młodej Polski, a nawet z pozytywizmu poważni i pryncypialni historycy literatury, dysponujący wiedzą nie tylko o przedmiocie swych badań, ale — może nawet przede wszystkim — o filozofii, socjologii i innych objawach ludzkiej, kulturalnej rzeczywistości. I podobnie jak dla nich — tak i dla Rogalskiego utwór literacki to głównie, jeśli nie wyłącznie, dokument ideologiczny, w który epoka, naród a zwłaszcza sam twórczy człowiek wpisuje swoje przekonania, rezultaty własnych dociekań, dotyczących się najważniejszych problemów życia i historii. Dlatego miarka, którą Rogalski zazwyczaj przykłada do analizowanych i interpretowanych pisarzy, wywodzi się zazwyczaj nie z jakiejś artystycznej albo raczej artystowskiej poetyki, ale z określonego systemu filozoficznego, który spełnia w ręku krytyka funkcję przysłowiowego klucza otwierającego, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej najważniejsze szufelki w powieści, eseju, a nawet w drobiazgu lirycznym.

Przy tego rodzaju gustach i stanowisku krytycznym trudno oczywiście decydować się na pisanie o najbardziej powszednich, tuzinkowych objawach życia literackiego — toteż Ro-

\*) Aleksander Rogalski: „Literatura i cywilizacja”. Warszawa 1956. PAX. S. 322, 1 nrb. „Profile i preteksty”. Warszawa 1958. PAX. S. 416.

(Dokończenie na str. 9)

dzbanem. Długą chwilę trwa dzięki zamęt na jezdni, zanim strażackiemu wozowi udaje się zawrócić w boczną ulicę. Spróbuj dojechać okrężną drogą, a że się spóźnia...

Na Via del Corso zdarza się coś nieporównanie innego: między korowód pajaców uskrzydłonych balonikami, które tu suną chwytowo jakoś luźniej, wybiegli skądś... szczer, rudy, z długim ogonem, najprawdziwszy w szczyrim świecie! Posuwa się statecznie w poprzek jezdni. Co za widok! W pierwszej chwili wszystko stanęło jak zaczarowane. W następnej — ogarnęło wszystkich podniecenie. Porwanym myśliwskim zapalem kierowcy zaczęli chytrze maniułować wzmacniaczem. Sangwiniczny padre w szerokoskrzydłym kapeluszu, w rozwiewającej się sutannie wyskoczył na środek z aparatem fotograficznym wycelowanym w szczer... Wymachując rękami, prawdziwa nagonka, zjawili się dzieci pod wodzą wyrostka z gwiazdkowym pistoletem... Przypleszony oddech i przyspieszone bicie ser-



# Z przeżyć i wrażeń moskiewskich

JANINA GARBACZOWSKA

Do Moskwy przyjechaliśmy nie jako turyści, ale — uczestnicy Kongresu Słowistów, który nas siłą faktu zamykał na całe dni w murach Uniwersytetu im. M. Lomonosowa. Było tych dni jedenaście we wrześniu ubiegłego roku. Rzecz jasna, że zarówno gospodarze radzieccy, jak i my sami, robiliśmy wszystko, co można, aby nie utracić tej — może jedynej — szansy zobaczenia miasta trochę dokładniej niż z okien autobusu, który unosił nas z dworca do hoteli. Niemniej — nie będzie ten artykuł reportażem, ale wiązką wrażeń z przeżyć i przemyśleń w Moskwie.

Kongres? Poza sumą wiedzy, jaką podzielili się wzajem — w zakresie historii literatur słowiańskich, teorii literatury i językoznawstwa słowiańskiego — uczeni nie tylko słowiańscy, ale i słowianoznawcy wszystkich krajów demokracji ludowych i kapitalistycznych — poza sumą wiedzy utrwaloną w drukowanych referatach\*, był kongres kapitalnym terenem spotkań. Ludzkich spotkań. Spotykali się dawni znajomi i przyjaciele, oddzieleni kordonami politycznymi, rodziły się nowe kontakty i nowe znajomości. Słuchaliśmy uczonych pierwszorzędnej znaczenia. Byliśmy świadkami nie skrępowanych niczym dyskusji ludzi o biegunowo przeciwnych ideologiach.

Mieszkałam w Uniwersytecie im. Lomonosowa, a więc na terenie kongresu. Kolos-wieżowiec, który by z łatwością pokonał kilka warszawskich Pałaców Kultury i Nauki, onieśmiela ogromem i dezorientuje przybysza niewysłowioną symetrią budowy. Potym labiryntem płataliśmy się przez pierwsze dni dość bezradnie, wciąż pytający i wciąż informowani cierpliwie przez uprzejmych woźnych czy studentów, którzy trafili do takiej czy takiej sali. Ten przepysznie zdobny w marmury i komfortowy gmach wiedzy jest w dużym stopniu samowystarczalnym miasteczkiem uniwersyteckim. A więc — poczta (z niespotykaną uprzejmością urzędników, osobiście pakujących nasze paczki książek wysyłanych do Polski), fryzjer, kioski z żywnością i „bakaliami”, kioski z gazetami, papierem i książkami, stoiska galanterijno-perfumeryjne... Wszystko, czego trzeba, aby spokojnie pracując nie wychodzić do miasta, odległego o jakieś pół godziny jazdy autobusem.

No i stołówki: studencka samoobsługowa, oferująca dużą różnorodność potraw — od rana do wieczora. Bo obiady studenckie to nie jedna jedyna dla wszystkich zupa, to nie jeden jedyny rodzaj mięsa czy deseru: to bogaty „wachlarz”, w którym — za minimalne pieniądze — jest w czym wybierać, żeby obiad czy kolacja nie były „odwaleniem” koniecznej funkcji dnia roboczego, ale i przyjemnością, i niespodzianką. A stołówka profesorska — to dwie — na zmiany funkcjonujące i ach, jakże symetrycznie — myląco położone i urządzone identycznie — wykwintne restauracje. Jedzenie — świetne i tanie.

Ale wyjdźmy z uniwersytetu na ulicę, na idealnie czystą ulicę Moskwy, która dwukrotnie w ciągu dnia jest czyszczona autem-szczotką i polewana wodą. Jedziemy. Autobus pełen czytającej publiczności (trasy są bardzo długie, nikt nie traci czasu!) przelatuje przez miasto. Miasto bardzo nierównej urody. Imponujący pięknem Kreml i cudowne cerkwie na pewno kłócą się z nowoczesnością pozbawionych wdzięku wieżowców, i z małymi domkami-rudermi, których jakoś nie zniwelował rozmach aktualnego budownictwa.

Komunikacja znakomita. Autobusy i trolejbusy „chodzą” bez przerwy, nie ma mowy o tłoku, i publiczność, ustawiająca się karnie w kolejkach, jest w nieustannym ruchu — do wnętrza wozów. Gdybyż tak u nas!

I metro moskiewskie, o którym tyle pisano. Przesadnie ozdobne? Może, choć niezupełnie podzielam zdanie krytykantów. W mieście przepysznego Kremnia, w kraju lubiącego monumentalność i wspaniałość, w kraju, którego mieszkańcy kochają się w mocnych zapachach perfum unoszących się falami przez ulice, nie razi świetność „stacyj” metra, czasem trochę przesadna. Czasem. Bo nikt nie zaprzeczy, że taka „Stacja Majakowskiego” wręcz urzeka wytworną prostotą, godną pamięci wielkiego poety.

Przy wspomnieniu metra znów westchnienie: cóż za akuratność ruchu, co za punktualność i sprawność funkcjonowania kolei podziemnej. I refleksja na temat publiczności. Schodami ruchomymi w górę i w dół, w dół i w górę, w nieustannym szumie kolei, ludzie jeżdżący czytają książki i gazety: młodzi, starsi, starzy, inteligenci i robotnicy. Bo ta publiczność doceniła łaskę udostępnienia kultury wszystkim. I przywykła do używania jej dóbr.

Można się było o tym przekonać nie tylko w autobusach i w metro. Zwiedziliśmy oczywiście Kreml, oblegany dosłownie przez nieustannie przelewające się falami gromady ludzi. Można by pomyśleć: olśnionych bogactwem złota, drogich kamieni, i innych skarbów narodowej przeszłości Rosji. Można by tak pomyśleć, gdyby się tłumów nie spotykało w Muzeum im. Puszkina i w Galerii Tretjakowskiej. A przecież zarówno ten Luwr moskiewski, jak wspaniała galeria dorobku sztuki narodowej od czasów najdawniejszych — to nie tylko rozrywka kulturalna i nie tylko jakiś oglądowy sposób zdobywania pewnej dziedziny wiedzy: to niewątpliwie wyłożona praca umysłu, zwłaszcza dla ludzi prostych, którzy nie przeszli w domu ani w szkole treningu w rozumieniu piękna. A takich właśnie spotyka się bardzo, bardzo wielu. Dziewczeta, chłopaki - wyrostki kilkunastoletnie, starzy brodacze jak pustelnicy wyjęci z romantycznych ballad, kobiety wiejskie — staruchy — przystają przed posągami i obrazami, i patrzą: albo sami, albo prowadzeni przez przewodników.

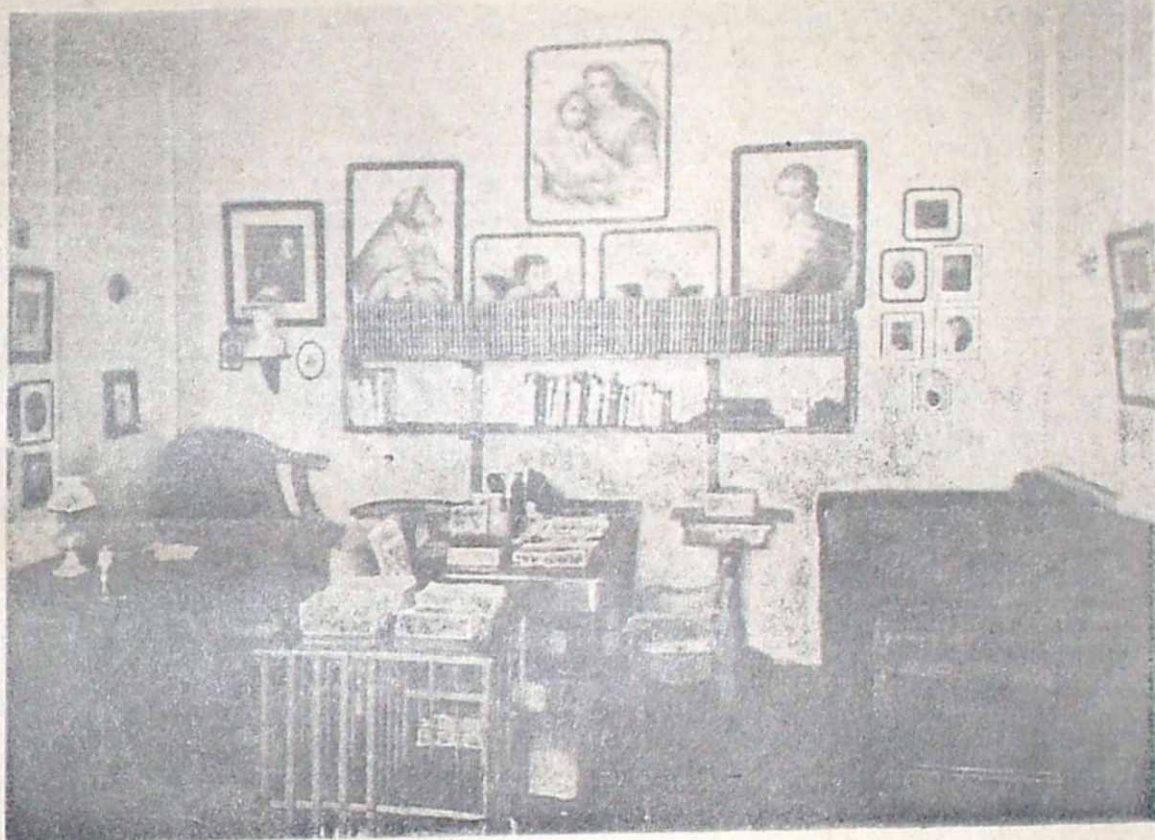
Przewodnicy po muzeach to osobny rozdział w kulturze Moskwy. Na ogół kobiety, wykształcone gruntownie w zakresie sztuki, fachowe, oddbarzone smakiem artystycznym, informują inteligentnie, nieszybłonowo, zajmująco i — nienatrętnie. Są dyskretne i kulturalne. Ponadto — co zwiększa zaufanie zwiedzających: nie są „omnibusami”. Każdą epoką malarstwa w Galerii Tretjakowskiej opiekują się specjalistki — znawczynie. Żadna ich informacja nie jest wyszana z palca ani bałamutna. Z jaką przyjemnością słuchaliśmy doskonałego wykładu takiej ogromnie miłej pani — o ikonach, w salach najstarszych dzieł rosyjskiego malarstwa. Ież było w tym wykładzie umiłowania przedmiotu i ile nastroju. Bez wielkich słów — czuliśmy się naprawdę w świątyni sztuki.

Największe wzruszenie wywołały we mnie jednak nie te muzea-kolosy, jakkolwiek tak bardzo żywe, świeże i tak dziwnie niemuzealne. Do głębi poruszył mnie widok dwu małych pokoiów... Majakowskiego. W tym mieszkaniu, uroczym, skromnym i przytulnym, nie ma tłumów. Stoją te dwa pokoje ciche i czyste, ze statkami kuchennymi, które służyły poecie za życia, i z dużą biblioteką wielojęzycznych dzieł. Pełne korespondencji od przyjaciół-literatów; widnieje wśród niej list od Władysława Broniewskiego. Stoją tak „przygotowane”, że tylko czekać, aż z miasta powróci pisarz i usiądzie przy biurku. Ale poeta nie przyjdzie. Przywołuje nas do porządku jego maska pośmiertna, jedyny „sprzęt”, którego nie widział i nie dotykał.

Mieszkańko to zwiedzałam z profesorem-kolegą. Młoda, o uduchowionej twarzy kustoszka tego miniaturowego muzeum zostawia nas samych wśród zbiorów, wyczuwając delikatnie, że historykom literatury nie trzeba tu nic tłumaczyć. Dopiero gdy mamy wychodzić, otwiera megafon i pozwala nam usłyszeć głos wielkiego poety. Słowa nie wychodzą wyraźnie (są nagrane z płyty), ale potężnie brzmi władczy głos, wybijający ów jedyny, właściwy Majakowskiemu rytm wiersza. Majakowski przemawia po śmierci we własnym mieszkaniu.

Wychodzimy poruszeni do głębi, a młoda pani obdaruła nas fotografiami poety.

Na koniec jeszcze jedno godne pamięci przeżycie. Katedra Historii Literatury Polskiej, mieszcząca się w Starym Uniwersytecie Moskiewskim, przez usta kierownika, pani docent Cybienko, zaprasza nas, historyków literatury polskiej i rusycystów polskimi, na spotkanie z młodzieżą polonistyczną Moskwy. W jed-



GABINET L. TOLSTOJA W JASNEJ POLANIE

Przeżywamy uczucie zazdrości na widok domów-muzeów po wielkich pisarzach rosyjskich. Zachowano w nich z dużym pietyzmem mieszkania, biblioteki, najdrobniejsze szczegóły, wśród których żyli poeci, stworzono najrealniejsze możliwości poznania aury ich życia — dla zwiedzających i dla badaczy ich twórczości. Jak wygląda ta sprawa u nas w Polsce? U nas, którym losy dziejowe, a więc warunki polityczne, nie pozwoliły na taki luksus. Nie było nam dane stworzyć domu-muzeum Mickiewicza czy Słowackiego. Fatum polityczne narodu polskiego w przeszłości zawisło i nad tą dziedziną kultury.

Takiemu zwiedzaniu towarzyszy zrozumiałe wzruszenie.

Siedziba Lwa Tolstoja w Jasnej Polanie pod Tułą (ok. 5 godzin jazdy autobusem na południe od stolicy) — toż to jakby przed chwilą opuszczony przez pisarza i jego rodzinę — biały dwór na tle zieloności lip, akacji, bzu... Po zniszczeniach wojennych przywrócony do idealnego stanu. Dom mieszkalny, w nim olbrzymia biblioteka autora „Wojny i pokoju”, pokoje wygodne i miękkie, zachowane do ostatecznych szczegółów urządzenia. Meble od pokoleń stojące, dwa fortepiany. Portrety rodzinne. Gabinet pracy pisarza, i pokój najskromniejszy, aż ascetyczny w swej prostocie. Olbrzymia, ponad 20 tysięcy dzieł licząca, biblioteka Tolstoja, który był człowiekiem wielkiej erudycji.

Poprzez aleję — drugie skrzydło folwarku, Muzeum Literackie, urządzone z dawnej szkoły ufundowanej przez pisarza dla dzieci chłopskich. Od muzeum prowadzi się do uroczych zakątków, utrwalonych przez epikę w jego powieściach. Od polany w lewo — mogiła Lwa Tolstoja; darniowa, bez tabliczki z nazwiskiem, bezimienna, a tak bardzo nazwana imieniem wielkiego autora „Wojny i pokoju”. Zarzucona i wciąż zarzucana kwiatami, które na niej kładą nieprzeliczone dłonie zwiedzających.

Przewodniczka po siedzibie Tolstojowskiej jest wesołą — w najlepszym stylu — encyklopedią wiadomości o wielkim epiku Rosji. Te wiadomości roztacza przed słuchaczami z epicką iście dokładnością.

nej z sal tego uniwersytetu zesłali się ci młodzi, aby z nami porozmawiać. Najczystsza polszczyzną wita nas studentka — polonistka, po czym zaczyna się wypytywanie o nasze stosunki uniwersyteckie, o nasze warsztaty naukowe i — współczesną literaturę polską, w której nasi rozmówcy orientują się doskonale, obeznani zarówno z twórczością naszych pisarzy, jak z dyskusjami literackimi w Polsce. Są wśród tych młodych nie tylko studenci: część sporą stanowią kandydaci nauk — poloniści pracujący naukowo w instytutach.

Po spotkaniu w katedrze gościmy w jednym z prywatnych domów „polonistycznych”. Rodzice kandydatki nauk: ojciec — profesor zootechniki, członek Akademii Nauk, matka — pełna wdzięku, kultury i serdeczności Rosjanka, córka — polonistka i jej mąż — inżynier. Goście: my i koledzy młodzi.

Mieszkanie (dwa pokoje wydzielone ze wspólnoty lokatorskiej) zawałone książkami. Na ścianach dobre stare obrazy. Profesor zootechnik jest pysznym humanistą, znawcą sztuki i literatury światowej. Książki stoją w regałach po sufit, książki leżą na biurku i stołkach. Białe krukli oprawne w skóry i półskórki ukazują na grzbietach złoczone nazwiska i tytuły. Teksty klasyków starożytnych, Montaigne (z zakładkami w ulubionych miejscach), Rousseau, Montesquieu, Voltaire... Sfatygowany mocno biust Voltaire'a króluje na najwyższej półce regału. Aura rozumu przez duże R. To jest gabinet profesora. W drugim pokoju — biblioteka klasyków polskich i najnowszych wydawnictw polskich, królestwo córki — polonistki.

Na ten dzień przyjechali starsi państwo z „dacz”, ażeby nas poznać i ugościć świetną kolacją (pyszne alkohole, bogactwo ryb i kawioru w przystawkach, znakomite pieczone lody — specjalność Moskwy, i kawa (kawa, jakiej się nie pija w mieście pozbawionym kawiarni w naszym stylu).

Wieczera była w równej mierze ucztą ducha. Rozmowa z profesorem — znawcą literatury i sztuki światowej, wymiana poglądów na tematy literackie,

(Dokończenie na str. 6)

\* Dorobek historycznoliteracki Polski został wydany w książce Z polskich studiów slawistycznych, Warszawa, 1950, PWN, str. 304+2 nfb.



Poezja Jana Zahradnika, (ur. we Lwowie w 1904 r., um. w 1929), jak wielu poetów jego pokolenia, została dość prędko zapomniana. Nie pomogła wzmianka w „Obrazie Literatury” Czachowskiego, stawiająca go obok Lieberta, ani studium Piszczkowskiego „O Janie Zahradniku”, wsparte przedmową Ignacego Chrzanowskiego. Dwa czy trzy wiersze Zahradnika przedrukowano w dwóch chyba antologiach poezji polskiej (jedna z nich wydana na emigracji), a „Nowiny Literackie” przypomnieli po wojnie niektóre z jego satyr. Kto wie, czy decydującym czynnikiem w ustosunkowaniu się opinii literackiej do nieznanego lwowskiego poety nie był wyrok wydany przez Władysława Broniewskiego, recenzją z tomu „Ludziom smutnym”. Wyrok wygłoszony z trybuny wpływowych „Wiadomości Literackich” brzmiał: niepotrzebna książka. Motywy? Wtórność formalna i treściowa, poprawne echo Tetmajera i Staffa. Dalszymi zarzutami było oderwanie tej poezji od życia, gadulstwo i łatwość dystychu.

Czy wszystkie te zarzuty pozostały do dziś obowiązujące? Chyba nie. Z niektórych musimy Zahradnika od razu rozgrzeszyć. Sam Broniewski uległ przecież pokusie dystychu — i chyba bez szwanku dla swej poezji. Gadulstwo? — tak, to się zdarza i poetom więcej niż 21-letnim, a takim był Zahradnik, gdy wydawał swój pierwszy i ostatni tomik. Słuszność innych zarzutów trzeba na nowo sprawdzić. A może zostanie z poezji Zahradnika coś, co jest jego wyłączną własnością?

Nie można zaprzeczyć — jak to robił Piszczkowski w książce „O Janie Zahradniku” — że spora część utworów poety wywodzi się z tradycji młodopolskich. Widoczne są u niego dwie linie młodopolszczyzny: tetmajerowska — z całym zapasem „żałów”, „dali”, „osmętnic” i „zadum” („O, przysłała znowu”, „Osmętnica”) i leśmiana („Jasnowidzenie”) i „Ballada o błękitnej róży”). Do zbieżności poezji Zahradnika z Leśmianem wypadnie jeszcze powrócić.

Elementem decydującym o uznaniu autora „Ludziom smutnym” za epigona Młodej Polski był jego przeraźliwy wprost smutek, jaki zawiera się w każdej strofie tomiku. Wydaje się, że ta tożsamość postawy smutku jest pozorną. Pesymizm poetów tzw. Młodej Polski był niejako założony, a więc konwencjonalny, tymczasem u Zahradnika smutek wypływał całkowicie z przeżycia wewnętrznego, z własnej oceny i stosunku do świata. Ta postawa tak jest konsekwentna, realizowana w każdym zdaniu twórczości, bez żadnych załamań, że nie możemy jej uznać za wynik młodzieńczej pozy czy udawanego nastroju.

Smutek Zahradnika nie jest smutkiem melancholijnym. Łączy się to uczucie z ogromnym cierpieniem, z wielkim bólem (np. przejmująca „Jazda” czy „Ludziom smutnym”). Ból ten nie wywodzi się bezpośrednio z życiowych konkretnych sytuacji, niemniej jest bólem na wskroś fizycznym. Geneza jego tkwi w osamotnieniu i teorii poznania Zahradnika — w niemości zrozumienia świata, dojścia do jego „dna”.

Postawą smutku Zahradnika nie wpływa z całkowitej negacji świata. Poeta zostawił na ten temat pewne wyznaczniki: „Prawdziwy pesymizm zawsze jest płytki. Głębię osiąga tylko ten, który u kresu swej negacji stawia jeszcze znak zapytania. Głęboki pesymizm jest zwątpieniem, a w zwątpieniu kryje się zawsze resztką nadziei, obiecującej nieskończone możliwości” (cyt. za Piszczkowskim). Te znaki zapytania i nikły promyk nadziei zawierają się w poencie prawie każdego wiersza.

Jedno ze źródeł tej postawy tkwi w koncepcji świata i teorii poznania Zahradnika, skłaniającej się do agnostycyzmu (uwzględniając przytoczony powyżej cytat). Cała jego poezja jest szukaniem odpowiedzi na najbardziej zasadnicze pytania, dotyczące życia, śmierci i wieczności. Ciągłe szuka sensu każdej rzeczy, jej istoty, „dna”, jak się wiele razy wyraża. Ale równocześnie wątpli w możność poznania rzeczy. Zamiast poszukiwanego dna ukazuje się przestrzeń — za którą — cóż się kryje? Poeta nie potrafi dociec. Wtedy ratuje się panteizmem. Zaczyna zaclerać się granica między byciem i niebytem, między życiem a śmiercią, doczesnością a wiecznością, jawą a snem.

Olbrymieje ten kasztan, w bezmiar się rozrasta,  
a z nim wszystko dokoła błędnie w nieskończoność...  
Płynię wielka ulica szumiącego miasta —

## Z przeżyć i wrażeń moskiewskich

(Dokończenie ze str. 5)

żywe słowo Mickiewicza (bajki) i Puszkina (ustępy „Oniegina”), których z niezawodnej pamięci recytował kapitalnie profesor Konrad Górski — oto uroczy plon tego spotkania, zainaugurowanego w uniwersytecie.

W morzu światła ogromnej wielomilionowej stolicy wracaliśmy nocą, pełni wrażeń, do hoteli.

Kiedy w dwa dni potem, odjeżdżając, zajmowaliśmy miejsca w wagonach sypialnych, żegnani przez kolegów moskiewskich, przyszli na dworzec — pani docent Cybienko i profesor zootechniki. Przybyli w deszcz i szarogę, ażeby uśmiechnąć się do nas na drodze. Z kwiatami. Od pani Cybienko dostałam gladiolę, profesor ofiarował mi bukiet róż... białych i czerwonych. Te symboliczne kwiaty wyznaczały kierunek: Polska.

Jeszcze przez kilka dni pachniały w moim lubelskim mieszkaniu, utrwalając wspomnienie pięknego wieczoru.

Janina Garbaczowska

# POETA najsmutniejszy

TADEUSZ KŁAK

Skąd płynię dokąd? — Nie wiem i nikt nie wie ponoś.

W końcu wszystko się gubi, zatracą powoń,  
Lub może ja się utapiam w tę bogatą zieleni,  
Jakby niewystawiony, balsamiczny olej,  
Po brzegi mię przepelnia wiedza bożych wcieleń.  
(„Przychodzą takie chwile”)

Nie trudno wykazać pokrewieństwo tego fragmentu z poezją Leśmiana. Ludzako podobna jest nawet frazeologia ballad i grotesek:

Jakieś gąszcz, głębokie strasznie od zieleni,  
Jakieś cienie świetliste i światła bez cieni.  
(„Malarz”)

Język poezji jest jednak wynikiem podobnej koncepcji świata. Ale gdy u Leśmiana zdeformowany i fantastyczny świat przedstawia się jako realna rzeczywistość (na gruncie poezji), u Zahradnika świat jest czymś nierealnym, mglistym, stojącym na pograniczu jawy i snu:

Nieznanym ogrom świata  
W bezładnych snach się śni.  
(„Jak cicho idą lata”)

Oba te światy (Leśmiana i Zahradnika) łączy ciągła metamorfoza, ciągle zmienianie kształtu i przeobrażanie się. U Zahradnika ten panteizm zaciążył w pewnej chwili na pojęciu Boga.

Niemożność przeniknięcia istoty rzeczy powoduje tęsknotę do tego stanu życia, którego progmem jest śmierć. Stąd wynika całkowita zgoda (ale nie rezygnacja) na śmierć. Trudno wnioskować, o ile zgoda na śmierć wynikała z wycucia jej bliskości. W każdym razie wycucie to zawiera się w wielu wierszach. Oto jedno z wyznań:

Za wcześniej idzie zachód, dzień był nazbyt krótki,  
Nie ma czasu na życie, kiedy czas umierać.  
(„Uśmiecham się do ludzi”)

Przecucie własnej śmierci bywa najwidoczniej przywilejem młodo umierających poetów — gruźlików. Oprócz Zahradnika przykladowo można dać wiele. Pierwszy z brzegu — to Ludwik Maria Staff, gdy pisał „Przecucie pożegnania”, zamykające jedyny jego tomik poetycki, i Jerzy Liebert z całą przedśmiertną twórczością.

Zagadnienie śmierci i wieczności — jak się rzekło — przeniewia się przez wszystkie prawie utwory „Ludziom smutnym”. Właśnie wieczność jest czymś najbardziej realnym, ale równocześnie czymś odległym, do czego zdąża się przez całe życie.

Z problematyką wieczności wiąże się u Zahradnika problematyka Boga. Bóg jest tym promieniem nadziei, tym znakiem zapytania, który poeta stawia u kresu każdej rzeczy. Lecz nim napisał:

Wiem już, że się przede mną jeden świat otwiera,  
a w tym świecie Bóg jeden objawia się zmiennie.  
(„Przychodzą takie chwile”)

malował wcześniej Boga (w balladach i groteskach) zbyt antropomorficznie, kiedy indziej znów animistycznie, a wcześniej jeszcze, w niedrukowanym zeszycie młodzieńczych „poezji bez Boga”, mianował się uczniem szatana. Widział poeta Boga w każdym kamieniu, w każdej rzeczy. W tym okresie w „Balladzie o dziwnym Bogu” zdobył się Zahradnik na plastyczny i sugestywny obraz:

Stwarzał potęgę bożego żaru  
Miliony istnień, miliony lat  
I sam się siłą swego ciężaru  
Jak wielka bryła toczył przez świat.

Później jednak pojęcie Boga zbliża się bardziej ku katolickim pojęciom, choć nie będzie to tak ortodoksyjna zgodność, jak u Lieberta.

Zakres problematyki poezji Zahradnika sprawił, że zaliczono go do poetów religijnych. Wiadomo, że w życiu Zahradnik raczej sympatyzował z katolicyzmem, niż nim żył. Pociągało go w katolicyzmie wiele, nie ze wszystkim się godził. Fascynowała go liturgia i obrzędy. Z tego oczarowania zrodził się surowy i świetnie archaizowany przekład hymnu „Dies irae”, który Piszczkowski określa jako najlepszy polski przekład tego hymnu.

Prawie cała poezja Zahradnika, a zwłaszcza najważniejsze cykle: „Na trzecim brzegu” i „Przychodzą takie chwile”, to jedna spowiedź, ciąg wyznań i wyrzuceń zbolęłego serca. Są to więc monolog, ale prawie nigdy nie wkłada się do nich retoryka. Zasadniczym elementem tej poezji jest bezpośredniość i szczerość. Jest więc bardziej poezją refleksyjną, niż poezją obrazu. Zdziwila ubogość środków artystycznych. Zahradnik liczył wyłącznie na emocjonalną i znaczeniową wartość każdego słowa, stąd zwoleńczy poezji konstruowanej, ograniczającej liryzm, gotowi uznać tę poezję za prozaiczne iluzje. Tak jednak nie jest. Prawda, Zahradnik prawie nie używa metafory, rzadko porównania („Powiem ci dzisiaj) bajkę smutną o człowieku, co się w życiu wypalił, jak papieros na wietrze”). Posługuje się za to innymi środkami wyrazu.

Podstawowym środkiem wyrazu tej poezji jest rytmika. Stąd wywodzi się nieskazitelność melodyki poszczególnych wierszy. Obserwujemy dużą różnorodność schematów rytmicznych. Kolyszący rytm niektórych wierszy przypomina Lieberta.

Drugą cechą poezji Zahradnika jest dynamika. Wiąże się ona z omówionym poprzednio dążeniem do poznania sensu świata i życia. Życie jako podróż, jako marsz naprzód. Stąd ruch jest ulubionym motywem Zahradnikowych utworów, stąd dobór motywów, podkreślających dynamikę: rzeka, fale, ucieczka. Mistrzowskim wyrazem dynamicznego ujęcia są dwa utwory: „Kolumb na morzu” i „Jazda”. Na specyficznym rytmie opiera się też przejmujący „Marsz żalobny”.

Oczywiście tomik „Ludziom smutnym” nie składa się tylko z dobrych utworów. Rażą nas wiersze, które świadczą, u kogo Zahradnik terminował. Od poetyki Tetmajera i Leśmiana potrafił się jednak dość prędko oderwać. Cykl „Przychodzą takie chwile” — to prawie w całości bezsporna własność poety. Tu pojawił się już prawie skryształizowany i dojrzały przedwcześnie talent.

Jaka byłaby dalsza droga poety? Od wydania tomiku (rok 1925) do śmierci upłynęły cztery lata. Drukowane kilka wierszy świadczą, że poeta nie wywołał się od urocznego motywu śmierci i smutku. W roku śmierci pisze jeszcze „Napis na grobie”. To było dla siebie napisane epitafium.

Tak więc zapowiedź, jaką w 1925 roku przynosił tomik „Ludziom smutnym”, musiała pozostać dokonaniem. Kilkanaście wzruszających, choć przesmutnych wierszy, zapewniło poecie miejsce w każdej rozsądnej antologii poezji dwudziestolecia. Zahradnik będzie miał w niej pozycję bardzo odrębną. Homo unius libri, poeta najsmutniejszy.

MAKSYM RYLSKI

## Przed wiosną

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Słyszeliście? Skowronki powróciły!  
Jeszcze brunatne zasy śniegu leżą,  
jeszcze na drogach kawek głodnych stada,  
jeszcze gdzieś tam tylko przebliskuje  
soczystą barwą czarnosiną rola,  
jeszcze kalendarz wiosny nie obwieszcza,  
a u kowala dzisiaj ruch ogromny:  
jedni mu brony, koła przyciągnęli,  
inni przy pługach medytują chytrze,  
dowcipów mnóstwo jak w wieczornym klubie.  
Daję wam słowo, tylko czekać trochę,  
a na wygonie ruń się zazieleni!  
Słyszeliście? —

A może jadąc w saniach  
z jarmarku, gdzie tak końskim potem pachnie,  
barwnym perkałem, dziegiem i tytoniem,  
gdzie wszystko wokół pieni się radością,  
gdzie ludzie śmieją się, targują, krzyczą,  
gdzie pod wozami raczą się gorzalką,  
— nagle spostrzegliście: na ciepłym niebie  
jak gdyby się perelki rozsywały  
i rozdzwoniły się dzwoneczki dźwięczne?  
Lub może idąc wprost przed siebie polem,  
by udział wziąć w zebraniu swej spółdzielni,  
zadarliście do góry nagle głowę,  
aż czapka spadła, i z uśmiechem dziecka  
witaliście śpiewaka skrzydlatego?  
Czy może ty, słuchacz, który z kursów  
na kilka dni do gminy przyjechałeś  
odwiedzić matkę i z Maciejem starym  
posprzezać się na temat spraw bieżących  
i w komsomole zrobić też porządek,  
— ty, gdy ze stacji szedłeś do wsi swojej,  
ujrzałeś — oto grudka ziemi z śniegu  
zerwała się i stał się cud — ożyła  
i zaśpiewała, że aż cię skrociło,  
by za nią trel wyciągnąć i to jaki!

Lub ty, dziewczyno. Wiatr, zuchwały psotnik,  
spod chustki ci wydmuchał pukiel włosów,  
a ty nie złościsz się i jesteś wdzięczna,  
bo piosenkę ci błękitną on przynosi,  
unosi cię na wysokości nieba  
i całe życie w jedną pieśń zamienia!...

Skowronków jeszcze, prawdę rzekłszy nie ma,  
tak mi się tylko teraz przypomniało,  
że i ja nieraz przemoczyłem nogi,  
po pas wpadając do grubego śniegu,  
rokując kres mu rychły, i czekałem  
na prostą pieśń zwłastunów młodej wiosny —  
skowronków skromnych. Jak mi się marzyło,  
jak się wierzyło, jak się oddychało  
wraz z ziemią, zwierzem, z pierwszymi pączkami!  
I w snach nie było tych nieprawdy wcale.  
O! teraz też: świat zimą ogarnięty  
i ci, co wierzą tylko w Réaumur'a  
wraz z kalendarzem, — dla zasady marzną,  
na mroz się skarżą i kupują opał.  
A ja, choć nos mam trochę posiniąły,  
krzyczę na przekór wszystkim i wszystkiemu:  
— Słyszeliście — skowronki przyleciały!



# TAJEMNICE ABSTRAKCYJNY

ROMUALD WOJNA

Przyzwyczajaliśmy się już do filmu. Wiemy, że ma on kilka gatunków — fabularny, dokumentalny, oświatowy, rysunkowy i wreszcie — abstrakcyjny. Wśród olbrzymiej liczby filmów produkowanych przez prawie wszystkie kraje świata rzadko, bardzo rzadko pojawia się najmłodsze dziecię X muzy.

Zaczęło się już dawno. Gdzieś na początku lat dwudziestych niektórzy filmowcy-amatorzy wpadli na myśl oddania muzyki w efekcie wizualnym. Początkowo malowano na taśmie figury geometryczne powtarzające się regularnie w rytm podkładu muzycznego (tak np. tworzy nasz rodak pan Borro). Później przyszła eksperymentalna „Symfonia” wielkiego Walta Disneya. Jednakże prawdziwym twórcą i propagatorem filmu abstrakcyjnego stał się Kanadyjczyk Norman Mac Laren. Z wykształcenia plastyk, postanowił przekazywać taśmie filmowej swoje pomysły malarskie. Taśma filmowa stała się terenem wielkiego eksperymentu: zeskrobywano z niej emulsję, pokrywano farbą itp. Rezultaty okazały się wręcz rewelacyjne. Dzięki temu plastyka uzyskała możliwość wkroczenia na teren filmu, mogąc za jego pośrednictwem zrealizować własny postulat — ruch. Wkrótce Mac Laren znalazł licznych naśladowców. W Polsce własne koncepcje realizują Lenica, Borowczyk i Tadeusz Kantor.

Cóż to jest jednak plastyczny film abstrakcyjny, jakie wywołuje efekty? W twórczości Normana Mac Larena jest to swoisty dramat kolorów. Krótkie filmy (czas projekcji od 6—12 min.) polegają na całkowitym podporządkowaniu rytmowi muzycznemu zachodzących na ekranie zjawisk barwnych. Dodajmy, że obrazy jego są w większości bezprzedmiotowe, a jeżeli zjawia się już jakiś kształt określony — np. kura lub litera, to i one podlegają prawom muzyki. Jednakże najbardziej wartościowe są chyba te filmy, w których nic, żaden kształt, żadna aluzja do świata realnego, nie maici swoistego rytmu i „życia” filmowej barwy. Jak daleko sięga tu proces symbiozy ruchu, barwy i dźwięku, dowodzi proste doświadczenie: wyłączamy dźwięk. Efekty są zupełnie różne, w tym wypadku — uboższe. Dramat zmieniających się kolorów nie jest wówczas pełnokrwisty, brak mu motywacji logicznej, która w percepcji człowieka odgrywa bardzo dużą rolę, przyczyniając się w znacznej mierze do pierwszego jeszcze nieumotywowanego świadomie osadu — wewnętrznej zgody lub potępienia danego zjawiska. Poza tym bez muzyki gra zmieniających się szybko kolorów nie jest od razu zrozumiała, wymagałaby wytrzymania, statyczności, a więc byłaby własnym zaprzeczeniem. Wyrazisty rytm, o który chodzi Mac Larenowi, najdobitniej występuje w jazzie. Stąd w przeważającej części jego krótkich obrazów podkład muzyczny stanowi jazz.

Osobne miejsce w twórczości Mac Larena zajmuje film „Fantazja”. Można w nim dopatrywać się tendencji surrealistycznych. Nierealny, szarobłęskawy świat, jak gdyby pogrążony w przezroczyście odmetach. Tutaj powolna muzyka nie narzuca się, nie stanowi nawet uzupełnienia — jest bardzo dyskretnym tłem. Na jego misternej osnowie (dosłownie) osadzają się wędrujące kształty. Więc łączą się sznury kuleczek, ich życie i ruch wyznaczają rytm i są dramatem. Głębiej przestrzenną uzyskał tu twórca przez nałożenie kilku taśm. Zdłużenie jest doskonałe, a oko widza, wnikać coraz głębiej, zatracając powoli ruch pojedynczych kul, uzyskuje nowy obraz całości — jakby wyabstrahowany, oczyszczony z pojedynczych jednostkowych ruchów. To jeden z cenniejszych plastycznie pomysłów. Część druga filmu rozgrywa się w jakiejś bajkowej krainie, zaludniającej się powoli opadającymi kulami.

Polskie plastyczne filmy abstrakcyjne powstały z zupełnie odmiennych założeń. Jest ich jeszcze bardzo mało. „Somnambulicy” Lenicy i Borowczyka, oraz „Taszyzm” Tadeusza Kantora. Oba reprezentują najmłodszy obecnie w polskim malarstwie nurt. Szcze-

Ze słowem „romantyzm” przywykliśmy kojarzyć pierwiastki irracjonalne, wyrażające się głębią uczuć ludzkich, bogactwem wyobraźni i fantazji oraz swobodą pomysłów twórczych, osłoniętych nimbem tajemniczości i niepokoju. Odbiciem tych cech jest sztuka okresu romantyzmu, przede wszystkim poezja, pod której przemożnym wpływem, a zwłaszcza wielkich wieszczów Mickiewicza i Słowackiego, pozostawało malarstwo.

Obrazy tego rodzaju oglądać możemy na wystawie „Malarstwo polskie okresu romantyzmu”, zamkniętej w granicach lat 1820—1850, która obecnie gości w Muzeum w Lublinie. Ten stosunkowo mało znany kierunek malarstwa polskiego, przesłonięty długo wielkością mistrzów ówczesnej doby, jak Matejki czy Grottgera, przedstawia wysokie wartości artystyczne. 33 płótna zadziwiają zwiędzającą różnorodnością tematyki, form artystycznych, jak też indywidualnością poszczególnych malarzy. Są tu typowe dla tego okresu obrazy historyczne, batalistyczne, wedutowe, rodzajowe oraz literackie i alegoryczne. Główną pozycję liczbowo stanowią portrety — dzieła mniej lub bardziej wybitnych twórców, reprezentujące różne



Piotr Michałowski — Krakus w natarciu

# ROMANTYZM w malarstwie polskim

IRENA BUCZKOWA

ujęcia malarskie: obok portretów Kolberga i Stättlera oglądać możemy na wskroś romantycznego choć patetycznego w pozie „Mickiewicza improwizującego”, pędzla Walentego Wańkowicza. Do najdoskonalszych niewątpliwie należy „Studium portretowe starego chłopca” Piotra Michałowskiego, gdzie nadmiar szczegółów otaczającego świata zastąpił artysta lapidarną syntezą, podobnie jak i w obrazach „Krakus w natarciu” i „Oddział błękitnych huzarów”. Wysoki poziom warsztatowy i wysoką rutynę malarską Michałowskiego potwierdzają doskonale podpatrzone sylwetki ludzkie i zwierzęce. Nie tracąc nic z cech romantycznych (głęboki światłocień, pełna ekspresji kompozycja zbudowana na osi ukoś-

nej) zawierają one również — realistyczne. Pierwiastki te stale splatają się w twórczości tego wielkiego malarza. Niemniej licznie reprezentowane są tu pejzaże i sceny rodzajowe, na których widoczny jest rozwój artystów od idealizacji do coraz prawdziwszego przedstawiania rzeczywistości. Najbardziej akademicki jest „Krajobraz fantastyczny z wodospadem” Franciszka Lampiego. Nieco lepszy — „Krajobraz z wiatrakami” Fryderyka Skarbka, gdzie artysta nagromadził zbyt wiele akcesoriów, aby obraz mógł być prawdziwy. Natomiast bardziej konkretny stosunek do natury wykazuje Jan Nepomucen Głowacki w pejzażu „Biały Dunajec w Tatrach”. Krajobraz ten, z przewagą szarzielonej tonacji, rozjaśnionej plamami światła na omszałych głazach, jest prognostykiem przyszłego rozwoju polskiego pejzażu realistycznego. Wśród scen rodzajowych znajdujemy dyletancki malarsko, choć nie pozbawiony oryginalności ujęcia „Targ w Opatowie” Jana Feliksa Piwarskiego, w którym spiętrzona bryła architektury dominuje nad rojowiskiem sztafażowych figur. Zamiłowanie romantyków do opieki nad zabytkami przeszłości pozostawiło ślad w postaci modnych wówczas wedut, wykonanych przez Wincentego Kasprzyckiego, Chrystiana Breslauera i Marcina Zaleskiego. Wyróżniają się one statycznym charakterem, podkreślonym niemal graficznym rysunkiem. Z obrazów o literackiej treści egzotycznym „Farys” Suchodolskiego — opracowany dokładnie — razi jednak twardym rysunkiem i monotonią kolorytu. Zapewne pod sugestią „Jeźdźców apokaliptycznych” Corneliusa powstało alegoryczne ujęcie suplikacji kościelnych „Od powietrza, ognia, wojny, głodu i nagłej śmierci” Ignacego Gierdziejewskiego. Podkreślenie elementu grozy i potęgi śmierci jest tu zasadniczą nutą nastroju. Obraz wykazuje usterki kompozycyjne (zbędna jest grupa modlących się pod krzyżem) oraz błędy rysunkowe, mimo to jest obok „Obozu cyganów” Wincentego Smokowskiego jednym z najbardziej typowych dzieł romantycznych, eksponowanych na wystawie. Z chronologicznie zakreślonych granic wystawy wyłamuje się portret „Jeźdźca perskiego” Aleksandra Orłowskiego, który słuszenie jest uznany za wczesne przejście na stronę romantyzmu prekursorem tego kierunku w malarstwie. Zaczepnięty ze świata wschodu motyw jeźdźcy perskiego jest kompozycją nieco teatralną, lecz odtworzoną ściśle pod względem realiów. Podsumowując ogólne walory wystawy warto zaznaczyć, że chociaż nie reprezentuje ona wyłącznie najwybitniejszych malarzy romantyzmu, to jednak jest dokumentem różnorodnych nurtów i tendencji przejawiających się w twórczości artystów tej epoki. Wystawa obejmuje dzieła 26 malarzy, stanowiące dziś własność Muzeum Narodowego w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, Muzeum Historycznego, Mickiewicza i Wojska Polskiego w Warszawie oraz Muzeum Pomorskiego w Toruniu. Jest to wystawa objądliwa, zorganizowana staraniem Stowarzyszenia Historyków Sztuki w Warszawie.

skująca artystycznie czysty dramat — ruch aktywnych kolorów.

Filmy polskie nie mają — niestety — tej czystości. Ukazując tajemnicę warsztatu zatracają cenne wartości plastyczne: rytmiczne, zdyscyplinowane ukazywanie kolorów, a zwłaszcza zestawianie oczyszczonych, klarownych płaszczyzn barwnych, które tak znaczną (i aktywną) rolę odgrywają u Mac Larena. Na plus za to można im zaliczyć duże wycucie materialności, substancjalności farby, i dążenie do uzyskania efektu — już chyba intelektualnego — sugerowanie jakichś pojęciowych znaczeń (nie w sensie — „stół”, „lampa”, „energia”, ale raczej zbliżenia widza do nastroju pojęcia szerokiego, jego wartości emocjonalnej, a nie znaczeniowej).

Niewątpliwie eksperymenty polskie są bardzo ciekawe. Najciekawszy jest Lenicy i Borowczyka „Był sobie raz...”. Do nakręcenia go użyto oprócz taśmy filmowej — ołówka i... kilku wycinaków rysunkowych z pism; a więc ołówka i papieru. Jest to dziwna historia o abstrakcyjnej istocie złożonej z kilku kresek. Całość robi duże wrażenie, a przede wszystkim — zadziwia świeżością pomysłu i realizacji. Wszystko się tam dzieje filmowo i swobodnie, od niechcenia — bagatela przemawiająca nie do „zdrowego rozsądku”, ale gdzieś znacznie głębiej. Zasłużenie też uzyskał on rozgłos za granicą, a w kraju został nagrodzony w kategorii filmów krótkometrażowych.

Podobne walory posiada nagrodzony „Dom” tychże autorów.

Abstrakcyjny film plastyczny wydaje się mieć przed sobą dużą przyszłość. Będąc naturalną kontynuacją plastyki nieruchomej, ale zarazem nową, różną od tamtej sztuki, będąc propagatorem dobrego smaku — nowoczesności w do- brym tego słowa znaczeniu, trafiając jak żadna inna sztuka do masowego odbiorcy, może odegrać pozytywną rolę w budowie nowej psychiki człowieka współczesnego.

Czym różni się abstrakcyjny film plastyczny od filmu rysunkowego? Przede wszystkim już samą techniką wykonania.

Tu bezpośrednim twórczym jest taśma filmowa, zastępująca poniekąd dawne płótno malarza. Tam wykonuje się serie obrazkowe, które następnie zostają sfilmowane. Tu podstawą i zasadą jest bezprzedmiotowość; dramat i fabułę upatruje się w „życiu”

(Dokończenie na str. 8)



# ŚWIADOMY PRYMITYWIZM

(Rozmyślenia nad malarstwem \*)

BARBARA BOROWIAK

Właściwym powołaniem malarza jest transponowanie rzeczywistości, własnych spostrzeżeń, przeżyć i refleksji na żywy język barw i kształtów. Moralnym jego obowiązkiem jest ciągle doskonalenie swych środków artystycznych, coraz pełniejsze wypowiedzianie swej osobowości.

Też te — powszechnie znane — bywają różnie interpretowane i urzeczywistniane przez artystów. Różne postawy artystów dadzą się jednak ująć w dwie generalne linie. Jedni z nich poprzez wzbogacenie środków artystycznego wypowiedziania się komplikują odzwierciedlany świat i własne doznania do granic możliwości, widząc w tym szczyt swoich osiągnięć. Inni tendencyjnie, świadomie zubożają swe sposoby obrazowania widzialnej rzeczywistości, prymitywizują ją, upraszczając jej obraz tak dalece, że swym prymitywizmem i ubóstwem form obraz przypomina niekiedy świat widziany oczyma naiwnego dziecka, odbity w jego rysunkach.

Owe dwa sposoby obrazowania świata mają swych gorących zwolenników i przeciwników zarówno wśród samych twórców, jak i krytykujących ich koneserów sztuki. I każdy z nich usiłuje narzucić innym swoje, niekiedy wątpliwe racje. Na ogół jednak wszyscy ci rycerze sztuki godzą się między sobą, gdy mowa o tak zwanej sztuce prymitywizującej. Na pytanie, która sztuka jest wyższa, artystycznie dojrzalsza i bardziej wartościowa: prymitywizm

świadomy czy nieświadomy — odpowiadają zgranym chórem:

— Prymitywizm świadomy, celowy, prymitywizm zamierzony.

Na ogół przez sztukę prymitywizującą rozumie się sztukę tworzoną przez zawodowego artystę, a zatem tzw. sztukę uczoną, opartą świadomie o przesłanki prymitywnej sztuki przeszłości, albo też sztuki życia i zwyczajów zapożyczonych od ludów pierwotnych współcześnie żyjących. W końcowym

wiedzieć się do końca, zobrazować plastycznie i przekonująco swoich spostrzeżeń i refleksji o świecie.

Sztuka dziecka, podpadająca pod kategorię sztuki nieświadomie prymitywnej, niedoskonała i szczerze naiwna — może w pewnym sensie swą bezpośredniością dostarczyć widzowi wzruszeń i zainteresować go nie tylko jako swoiste curiosum.

Malarze prymitywizujący — bez względu na to, jak ocenimy ich dorobek twórczy — uważają się bez wątpienia ocale niebo wyżsi od artystów prymitywnych. Wszak oni prymitywizują świadomie, celowo, a nie bezwiednie — jak na przykład robią to dzieci i malarze amatorzy. Ich obrazy powstają nie w wyniku nieznajomości praw rządzących naturą i sztuką. Czy jednak takie świadome zubożenie swej twórczości, nie dające w końcowym rezultacie naprawdę nowych i ciekawych efektów — jest rzeczywiście godne podziwu i naśladowania, i

zasługuje sobie na miano sztuki wielkiej, sztuki psanej przez duże S?

Zrozumiał jest pesymizm twórczy i swoista bezradność tych malarzy, którzy zdając sobie sprawę, że nie osiągną nigdy szczytów sztuki — peizają po nizinach. Artyści ci z reguły wprawiają w siebie i w innych, że jest im tu najlepiej i tylko tutaj chcą zostać, gdyż właśnie tutaj, a nie gdzie indziej mają poważną misję do spełnienia. Będą celowo tworzyć sztukę prymitywną, bo światu ogromnie jej brak. To tak, jakby naprawdę nie było poza artystami zawodowymi nikogo więcej do tworzenia sztuki prymitywnej!

Ale jeśli już wśród artystów znajdują się tacy uparci amatorzy na tworzenie sztuki prymitywnej — to niech przynajmniej starają się być nie gorsi na przykład od Paula Gauguina — a raczej lepsi, bo bogatsi o doświadczenia swych poprzedników.



Hanna Krzeluska - Monmarire, 1958

\*) W związku wystawą prac Hanny Krzeluskiej i Jacka Żuławskiego w warszawskiej „Zachęcie”.

JAN MARIA GISGES

## Podwórkowi muzykanci

Znowu zesłi na ziemię biedni  
[muzykanci  
jak anioły bez skrzydeł z oliwskich  
[organów,  
a jednak podlatują do najwyższych  
[pięter  
i wsuwają się do mieszczańskich  
[mieszkań,  
wytrzępują kurz z tapczanów i kanap.  
Uciekają pod rachityczne podwórkowe  
[drzewko —  
pod nim harmonia i skrzypce i trąbka,  
a w skrzypcach schował się sam  
[Paganini.  
Trębacz wyciągnął rękę, jakby mu  
[za mało było  
błysku na trąbce —  
lecz dzieci są jak gołębie  
skwapliwie zbierające ziarenka.  
Biedni muzykanci zadarli głowy  
szukają dobrej dłoni, co zrzuci im  
[słońce.

EDWARD STACHURA

## Dolina obiecana

Smutek niedźwiedzia  
jest srebrną strzelbą myśliwego  
schodzącego w kotłynie  
obiecanej doliny

Skarga niedźwiedzia  
to muzyka złotego rogu  
i ranionej ciszy  
obiecanej doliny

Śmierć niedźwiedzia  
to agonia moich palec  
nad niewdzięczną kompozycją  
obiecanej doliny

\* \* \*

Niebo to jednak studnia  
a więc tyle cembrowin  
ile smutku i gwiazd

Leć najsmutniej jest wtedy  
kiedy skalpel księżycy  
otwiera obłok  
jak brzuch delfina

rozrachunku sztuka prymitywizująca różni się niewiele lub wcale od sztuki prymitywnej — chyba tylko tym, że obrazy malowane w sposób prymitywizujący są bardziej wymęczone, tworzone z chłodnym wyrachowaniem, pozbawione szczerości i bezpośredniości sztuki typowo prymitywnej.

Sztuka prymitywna — ta, która dostarcza dziś niejednokrotnie pośrednio lub bezpośrednio materiałów do naśladowania artystom lekającym się złożoności życia XX wieku — ma bardzo stare tradycje, sięgające swymi początkami czasów prehistorii. Już wtedy tworzył ją na ścianach jaskiń i na przedmiotach codziennego użytku człowiek pierwotny, a zatem autentycznie prymitywny, o ubogiej, nieskomplikowanej psychice i umysłowości, o zacięzionym horyzoncie myślowym. Mimo to, przekazane nam przez epokę prehistoryczną malarstwo prymitywne zadziwia niekiedy swą naturalnością i szczerością ujęcia, a nawet wysokim poziomem artystycznym, który mógłby zawstydić niejednego artystę XX wieku „świadomie, celowo prymitywizującego”.

Nie musimy zresztą odwoływać się aż do prehistorii, aby poznać charakterystyczne cechy malarstwa prymitywnego. Wystarczy na przykład obejrzeć rysunki zoologiczne dzieci ze szkoły podstawowej. Uderzy nas w tych rysunkach naiwność interpretacji świata, nieporadność w odtwarzaniu ludzi i przedmiotów, nie zawsze właściwe rozmieszczenie barw. Rysunkom brak będzie perspektywy linearnej i powietrznej — brak będzie atmosfery. Postaci ujęte będą najczęściej frontalnie, płasko, obwiezione twardym, surowym konturem. W rysunkach dziecka wyczuwa się bezwiedną tendencję do prawdziwego odtworzenia świata. Lecz dziecko potyka się co krok o ubóstwo środków malarskich, jakimi dysponuje; to nie pozwala mu wypo-

## TA JEMNICE ABSTRAKCI

(Dokończenie ze str. 7)

kolorów, ich zestawianiu i przejawach, niekiedy nawet bardzo dosłownych (filmy polskich tasmystów), substancjalnych. Tam kolory tylko podkreślają i uwydatniają fabułę zachodzących wydarzeń — tworzą żądany nastrój lub uwypuklają cechy charakterów. Tu mamy do czynienia z samodzielnym dziełem sztuki; tam z ilustratorstwem, bajką, zapożyczeniami literackimi.

Nie chcę zresztą porównywać obu tych odrębnych dróg rozwojowych. Nie ma ku temu ani możliwości, ani potrzeby. Chodzi tylko o to, że czasami zbyt pochopnie tak się właśnie czyni. Jeżeli istnieją jakieś podobieństwa, to wynikają one z konieczności używania pewnych jednakowych środków technicznych (jak np. wyświetlanie na ekranie lub używanie kolorów). A poza tym są to gatunki różne i niepodobne, z własnych środków wyrazowych czerpiące (i określające) własne prawa, a więc — efekty.

Abstrakcyjny film plastyczny zaleca się do rzędu najbardziej nowoczesnych gałęzi sztuki. Odnosi się to i do dyskusyjnego „Był sobie raz...”. Film spłata się w nim nierozłącznie z grafiką, opracowanie plastyczne jest już w samym zamyśle uzależnione od filmu (ruch abstrakcyjnej „istotki” itp.). Ze wszystkich filmów ten wydaje się — jeżeli tak wolno w ogóle powiedzieć — najbardziej filmowym.

Romuald Wojna

## UCZCZENIE DZIAŁALNOŚCI NAUKOWEJ Wiktora Hahna

Jednym z nestorów pracujących wytrwale na niwie naukowej w dziedzinie historii literatury polskiej jest Wiktor Hahn. Uczony o niesłychanie szerokich horyzontach, tytan wiedzy i tytan pracy, autor Bibliografii bibliografii polskich, wydanej dwukrotnie, autor monografii bibliograficznych poświęconych recepcji w Polsce: Wergiliusza, Horacego, Shakespeare'a, autor Bibliografii filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce za lata 1890—1925 — dużą część dorobku swego poświęcił literaturze polskiej, a zainteresowania swe skoncentrował zwłaszcza wokół dramatu staropolskiego, wokół Simonidesa, Staszica, Słowackiego i Kraszewskiego. Prace o Staszicu (monografia i monografia bibliograficzna) wiążą imię Hahna trwale z Lublinem; wydane były w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, które pod prezesurą Zygmunta Kukulskiego uczciło najpiękniej w całej Polsce setną rocznicę śmierci Staszica. Monografia bibliograficzna poświęcona Słowackiemu ma znaczenie ogromne dla wszystkich badaczy poety. Przez lat 21 był Wiktor Hahn profesorem KUL. Usunął się z powodu podszedłego wieku z katedry, tworzył nadal naukowo (w sumie tworzy nieprzerwanie przez 63 lat). Dwie prace jeszcze po wojnie ogłosił w wydawnictwach lubelskich: jedną w książce „Rok 1848” wydanej przez Oddział Lubelski ZLP, drugą w Rocznikach Humanistycznych TNKUL.

Imponujący wysiłek twórczy uczonogo został ostatnio kilkakrotnie wynagrodzony drobnymi aktami zastępującymi huczną uroczystość jubileuszową. „Przewodnik bibliograficzny” zadedykował Hahnowi jeden ze swych ostatnich roczników. Katolicki Uniwersytet Lubelski, obchodząc swoje 40-lecie w dniach 20—21 września 1958 r. przyznał Hahnowi jako najstarszemu z pozostałych przy życiu profesorów — doktorat honoris causa. Dyplom doktorski zawięził sędziemu profesorowi: Ks. Prof. Rechowicz, rektor KUL, doc. dr Łoś, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych, prof. dr Zgorzelski — promotor i doc. dr Araszkievicz jako przedwojenny kolega Hahna z Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie.

W dniu 23 lutego br. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza zorganizowało w sali Seminarium Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego okolicznościowe zebranie poświęcone uczczeniu twórczości naukowej Hahna. Zebranie zagalęł prezes Towarzystwa, prof. dr Julian Krzyżanowski; dorobek naukowy Jubilata dotyczący twórczości Słowackiego omówił prof. dr Zdzisław Libera, dziekan Wydziału Filologicznego UW, w imieniu lubelskiego Oddziału Towarzystwa przemówił przybyły na uroczystość delegat, doc. Jerzy Starnawski.

W osobie Wiktora Hahna uczyć należy nie tylko autora licznych prac naukowych z różnych dziedzin, nie tylko niestrudzonego pracownika świecącego brylantowe niemałe gody naukowe, ale szlachetnego człowieka, który wiedzy swej używał zawsze „non sordidi lucrī causa, nec ad vanam captandam gloriam, sed quo magis veritas propagetur...”

J. S.



W naszej świadomości istnieje cały szereg zdarzeń i faktów, które nosimy zawsze przy sobie i wystarzymy się lekko słówkiem zawadzić, żeby obrazy nawet nieco wyblakłe nabrały świeżych rumieńców. Ale ta wybrała w ciągu trzydziestu lat w mojej pamięci koloru nie straciła i na dźwięk jej imienia w oczach mi się męszają błękity jej morza i nieba z wielobarwną zielenością bogatej roślinności.

# CAPRI

IRENA PARANDOWSKA

Capri! Siedzimy na werandzie naszego domu. Mammy przed sobą widok na całą zatokę neapolitańską. Nasza Signora pozdrawia nas i na glinianym talerzu przynosi dwie cytryny figlarnie ze sobą zrosnione. Z czarnego dzbanu nalewa rubinowe wino, wyłoczone w naszej winnicy. Na stole leży ser, rzodkiewka, pomidory.

Mówimy o Tyberiuszu. Mówimy o nim wciąż. Nie podobna się od niego uwolnić. Wszędzie go pełno. Jeśli nawet łopata zanurzona w twardej ziemi suknie o wązkę starożytną. Capryjczyce mówią ze zgrozą: „Roba di Timberio”.

Koło tego miejsca narasta legenda, gestykulując, odtwarzają okrucieństwo cezara, a o jego rozpuszczenie szepcze się ze spuszczonymi oczyma.

Jan go broni. Ma inny pogląd na tę postać.

„To są plotki, stare plotki z czasów rzymskich. Oddalona wyspa, na której przebywa, jeszcze bardziej zapładnia ich wyobraźnię domysłami. Znekąnemu już starcowi przypisują jeszcze wciąż czyny rozpustne, wówczas kiedy to już tylko samotny i nieszczęśliwy człowiek. On mnie bardzo interesuje”. Jan mruży lekko powieki, jego oczy przesuwają się coraz bardziej... jest już daleko, w innych czasach, odległych epokach, wśród innych ludzi.

„Interesuje mnie jego dalekosiężne spojrzenie. Jego przenikliwość w ocenie spraw i faktów. Historycy powiadają, że w pewnym momencie zjawia się na Capri Antonia, owa ciotka Cezarów, i ona mu dopiero otwiera oczy na wszystko... Nigdy w to nie uwierzę, żeby nie orientował się w zdradliwych czynach swego namiestnika Sejana i żeby mu to Antonia uświadomiła. Wie wszystko, wie, tylko czeka na odpowiedni moment, żeby temu kres położyć”.

„Obdarzasz go wielką sympatią. A przecież to straszny człowiek. To za jego panowania ukrzyżowano Chrystusa. Czyż nie mógł temu przeciwdziałać, sprzeciwić się?”

„Wiedział o Chrystusie Nazareńskim to, co mu relacjonowano w raportach urzędowych. Czas, który poświęcił tej sprawie, musiał być odmierzony proporcjonalnie do wydarzeń świata, nad którym panował. W każdym razie godny zastanowienia jest fakt, że po ukrzyżowaniu Chrystusa prokurator z Judei zostaje odwołany ze swego stanowiska”.

Często jeszcze wracamy do Tyberiusza. Z wielkim wzruszeniem słucham o jego miłości do pierwszej żony Agripiny, którą musiał opuścić na rozkaz Augusta, i poślubić potem jego córkę Julię...

Trudno wprost uwierzyć, ile ofiar trzeba było złożyć, ze względów dynastycznych.

„Ale zawsze kochał tamtą. I kiedy ją raz spotyka przypadkiem na ulicy po latach, długo wodzi za nią wilgotnymi oczyma”.

Capri! „Pamiętasz to miejsce, gdzie zrobiłeś mi takie piękne zdjęcie w momencie, kiedy zawiązuję sandał u nogi? Kazalesz mi się odwrócić”.

„Widziałeś te skały, pośrodku morza? To cyklop jednooki rzucił je za Odyssem uciekającym na tratwie wraz z towarzyszami. Ale ich nie dosięgnął. Utkwiły w tym miejscu, po dziś dzień świadcząc o sile, ale zarazem o porażce wielkoiuda”.

Pamiętasz koło Monte Salaro tych dorozkaczy śmieśnie nawołujących piskliwą niemiezczyzną?

„Wollen sie Anacapri? Heute schön Anacapri”!

To zachęta dla cudzoziemców. Capryjczycy mają schody, jeszcze z czasów starożytnych. Stronie, mechem porośnię, po których wychodzi się wprost na Anacapri. Ale zazwyczaj nie kwadają się i wielu takich znalazłam, którzy nigdy tam nie byli. Nie wychylają nosa poza swoją winnicę.

Do wyjątków należał signor Cherubini. Ten lubił i w sąsiedniej winnicy winka spróbować, a że głowa jego siedemdziesiętletnia zbyt mocna nie była, po kilku kieliszkach leżał w rowie i w takim stanie znalazłam go

któregoś wieczoru. Był otoczony gromadą chłopców, którzy rzucali na niego drobny żwir, grudki błota i śmiejąc się naigrywali się z belkocącego starca. Z trudem udało mi się go podnieść.

„Dove si trova vostra casa? Jakoś skleciłam to zdanko ubogie.

„Mia casa, mia casa” — podśpiewywały stare wargi, mokre od śliny.

Chwiał się na zreumatyzowanych nogach, szedł powoli, coś gadał, czasem znów podśpiewał, wreszcie zatrzymał się, przed wspaniałą willą.

Spojrzałam zdumiona. Pomyślałam: „Jest tu odzwierciedlenie”.

Nieśmiało pociągnęłam za kołatkę. Otworzyła już niemłoda, ale jeszcze w pełni sił niewiasta w czarnym szalu zarzuconym na plecach.

„O fratello mio”!

Zaśmiała ręce. Zwróciła się do mnie, coś zaczęła tłumaczyć, w lot zorientowała się, że go przyprowadziłam. Z wielką serdecznością wzięła mnie za rękę, weszliśmy do ogrodu, wonnego od dojrzałych owoców, traw puszystych i cudnych kwiatów. Podano mi nespoli, które jest tak soczyste, że się ten owoc raczej pije niż je, potem przyniesiono mi kubek rozkosznego wina. Siostra obmyła bratu twarz, obandażowała rękę skaleczoną i skarżyła się na jego lekkomyślną naturę. Dowiedziałam się, że znajduję się w domu potomków słynnego kompozytora Cherubinięgo. Powiedziano mi również, że w tym ogrodzie znaleziono cenne wykopaliska. Pokazano mi cały dom. Odtąd byłam tu prawie codziennym gościem. Siadałam z moimi nowymi przyjaciółmi w obszernym atelier ich zmarłego ojca, które zawalone było od dołu do sufitu sztuką marynistyczną. Słowo—zawalone—zostało tu wprowadzone jako pojęcie ilościowe, bo byłoby niesłuszne, gdybyśmy przez jego użycie dała jakiś fałszywy obraz zagrożenia. Wręcz przeciwnie, panował tu porządek prawie nabożny, miało się wrażenie, że pędzle, farby, szlaczki, palety ułożono według iście liturgicz-

nego kanonu. W drewnianej skrzyneczce leżały najrozmaitszego wymiaru szczoteczki do odkurzania grubych rulonów, zwiniętych i związanych kolorowymi sznureczkami. Z największą czułością Fratello i Sorella, bo tak ich zawsze w myślach nazywam, rozwijali przede mną — w ich mniemanu — arcydzieła swego ojca i szukali w moich oczach zachwyty.

„Un genio terribile”! — wykrzykiwał mój pijaczyna który zresztą w momentach trzeźwości był uroczym człowiekiem. Do tego domu przywiązałam się szczególnym afektem, ujęta przede wszystkim głęboką miłością i kultem dla ich zmarłego już dawno ojca. Siłham się na jakieś zdawkowe komplekty, spragniona raczej szczegółów z życia ich wielkiego przodka, ale zbywano mnie zawsze jakimś słówkiem nieważkim. Było coś niesłychanie wzruszającego w zgodności tych dwóch bijących serc, żeby jak najbardziej usunąć w cień wielką sławę Cherubinięgo a otoczyć największym blaskiem puszczną ich ojca. Nawet sztychowany portrecik kompozytora, wiszący gdzieś z boku, był nieuszanowany należycie i cały kurzem przyprószone.

We wszystkich pokojach roztawione były figurki z terrakoty, przeróżne naczynka, wazki, lampki oliwne, małe posążki, amulety. Przedmioty te znalezione w czasie przebudowy domu, jeszcze za życia ich ojca. Był to wystarczający powód, żeby je otoczyć kultem i miłością. Nie zostały złożone w sposób muzealny w jakiejś gablotce, pozwolono im bytować w dalszym ciągu niejako życiem swojego przeznaczenia. W naczynkach i wazkach glinianych stały zawsze świeże bukietki kwiatów, misternie ułożone. Bardziej ciężkie przedmioty służyły za przyciski na biurko, amulety zdobiły jakąś szafeczkę lub lustro stojące.

Nadszedł dzień, w którym trzeba było się rozstać z przyjaciółmi i z tą szczęśliwą wyspą, którą w ciągu mie-

(Dokończenie na str. 10)

## Drugi i rozdroża krytyka

(Dokończenie ze str. 2)

galski jest krytykiem bardzo wybrednym, wybierającym z nie zawsze najlepiej zaopatrzonego stołu, jak i zastawia przed recenzentem i eseistą literaturę współczesną, kąski najlepsze, najsmaczniejsze i najciekawsze dla ideologicznej interpretacji. Gabinet pracy Rogalskiego odwiedza ją w zasady tylko luminarze, arystokracja literacka z Lwem Tolstojem i Tomaszem Mangem na przedzie, z rzadka tylko i to kuchennymi schodami wśliznie się do niego jakiś szaraczek artystyczny w rodzaju Zygmunta Lichniaka czy — myślę tu o znakomitej większości jego książkowych publikacji — Jana Dobraczyńskiego. I tak samo prowadzi Rogalski dyskusje z komilitonami po fachu, pryncypialne spory i zwady, jego bogate czytanie w literaturoznawstwie i krytyce niemieckiej, francuskiej, angielskiej, ułatwia mu włączenie się w prądy, dynamizujące i elektryzujące współczesnych eseistów świata.

Zadna droga twórcza nie jest jednak wysłana bez reszty różami i lauromi, a już szczególnie cierniowa droga krytyka literackiego. Jeden z tych cierni ułowił mi już na początku niniejszych rozważań — fakt, że z artykułami i książkami Rogalskiego na ogół się nie polemizuje, nie jest na pewno przyjemny dla tego permanentnego prowokatora, jakim z reguły pozostaje każdy adept jadawitej, krytyckiej sztuki. Ale czy winę i odpowiedzialność za to ponoszą wyłącznie niedoszli i nieujawnieni adwersarze twórcy „Profilów i pretekstów”?

Rogalskiego cechuje bardzo specyficzny stosunek do przyjmowanego przezeń i spełniającego funkcję głów-

nego kryterium w analizie i ocenie krytycznej systemu filozoficznego, czyli — światopoglądu. Jest on katolikiem, ale katolikiem z gatunku najmniej — powiedziałbym — uniwersalistycznego, bardzo za to ortodoksyjnie i literalnie wprowadzającego do swoich ocen przesłanki własnego światopoglądu. Jestem jak najdalej od czynienia z tego Rogalskiemu pryncypialnego zarzutu, przeciwnie: podziwiam go jako jednego ze stosunkowo nielicznych u nas pisarzy, którzy śmiało i otwarcie przyznają się do własnych przekonań — wydaje mi się jednak, że natrętne relatywizowanie (jak to uwydatnia się szczególnie w niektórych partiach „Literatury i cywilizacji”) wszystkich, nieraz zgoła drugorzędnej czy wyłącznie artystycznej natury, wydobywanych elementów do ich zgodności lub braku zgodności z katolicyzmem — dowodzi dość niepokojącego zawężenia horyzontu poznawczego, a nawet usztywnienia języka, sposobu wyrażania się i to u przedstawiciela światopoglądu, który w zasadzie nastawia się na dyskusję z innymi kierunkami poznawczymi, na wydobywanie z nich pierwiastków zrozumiałych i istotnych dla obu splekających się stron. Jeżeli Lichniak — jak to mu zresztą słusznie Rogalski wytyka — obciążony jest spośród krytyków katolickich bodajże największym indyferentyzmem ideologicznym — to omówiona również w „Profilach i pretekstach” Starowieyska-Morstinowa, nie zatraćając nic z wyznawanej przez siebie ideologii, potrafi jednak zbudować płaszczynę porozumienia między sobą i analizowanym pisarzem i swoimi niekatolickimi czytelnikami, a nawet krytykami. Takiej płaszczyny porozumienia w wielu szkicach Rogalskiego nie ma nawet w intencjach, jak gdyby świadomie zasklepiła się on we własnej ideologii, przejmując od niej mandat cenzora i skrupulatnie oblicza, co w ocenianym utworze jest dobre, a co złe, katolickie i niekatolickie, moralne i niemoralne. Trudno się zatem dziwić, że dla niektórych obserwatorów praktyk krytycznych Rogalskiego, którzy nie podziwiają jego światopoglądu, lektura pewnych szkiców tego eseisty jest wyjątkowo mozolna i mało pobudzająca do sprzeciwu i sporu.

Inną przyczynę trudności dyskusji z autorem „Profilów i pretekstów” widzę w jego małym zainteresowaniu dla tajników artystycznego rzemiosła, sprawy bądź co bądź dla wszystkich miłośników literatury — i to niezależnie od poglądów — dość zasadniczego znaczenia. Rogalski przyszedł do krytyki literackiej bez wątplenia od strony historii literatury, naukowego badania twórczości artystycznej — nie od strony samej twórczości, własnych amatorskich i zarzucanych — ale jakże znanych wielu krytykom! — prób pisarskich. Przyznam się, że szczególnie dowody na taką krytyczką genealogię upatruję w szkicach Rogalskiego o poetach, o Rilkiem i Leśmianie, do których należytego zrozumienia i wytłumaczenia potrzebna jest wyjątkowa znajomość poetyckiego rzemiosła i wyjątkowa wrażliwość na drgnięcia lirycznego instrumentu. Rogalski nie mógł więc pominąć milczeniem specyfiki poetyckiej tych pisarzy, ale też nie potrafił powiedzieć o ich osobowości lirycznej niczego poza słusznymi w swojej generalności, ale właśnie dlatego mało precyzyjnymi określeniami. I do takich tylko określeń sięga krytyk, gdy przychodzi mu mówić o skomplikowanym i wieloaspektowym kunszcie Kafki, Flauberta, Ibsena, Dostojewskiego. Jest to znamienne właśnie dla tych historyków literatury, którzy uprzywilejowują w swoich rozważaniach wyłącznie dokumentacyjny — także i w ideologicznym rozumieniu — aspekt dzieła literackiego i dla których takie terminy jak „liryka”, „poezja”, „dramat” są raczej jedno — niż wieloznaczne. Ale też trudno tego rodzaju badaczom brać udział w sporach „drożdżujących” — jak to gdzieś określa Rogalski — współczesne życie literackie, bo istotną, nieraz główną, część tych sporów stanowią właśnie problemy artystyczne.

Nienajmniejszy mankament krytycznej metody Rogalskiego upatruję wreszcie w małej osobowości, subiektywności wypowiedzianych przez niego poglądów. Tak się już składa w dziełach literatury, że od jej krytyków oczekuje się przede wszystkim gwałtowności, zajadłości i oryginalności koncepcji i sądów, chociaż — o dziwna sprzeczności natury ludzkiej! — za to samo przede wszystkim ma się do nich pretensje. Faktem jest jednak, że im krytyk więcej ujawnia w swoich elaboracjach własnych sympatii i antypatii, żółci i krwiożerczości, tym jest chętniej czytany i dyskutowany — i chyba właśnie dlatego bardzo osobiste wypowiedzi Rogalskiego o Lichniaku i Dobraczyńskim czyta się w „Profilach i pretekstach” dosłownie jednym tchem, czego o pozostałych partiach tej i poprzedniej książki raczej powiedzieć nie można. Niestety, tego rodzaju osobistej krytycznej narracji używa Rogalski bardzo rzadko, zwykle feruje wyroki i oceny w formie bezosobowej, a już bardzo chętnie wyreczuje się cytatem z pracy kolegi po piórze. Nie wątpię, że przytaczając taki fragment Rogalski zgadza się z nim i bierze za niego pełną odpowiedzialność, jednakże próżno by szukać w takiej metodzie zgrzytliwości i pasji — dwóch najsmaczniejszych przystawek, ozdabiających stół każdego krytyka literackiego z powołania. Jak się okazuje właśnie na przykładzie autora „Literatury i cywilizacji” erudycja i szacunek dla opinii poprzedników może się stać czasem nie lżejszym balastem obciążającym lotność i zgrabność eseju bądź recenzji niż lekkomyślność i dyletantyzm.

Formułując powyższe zarzuty, powtarzam raz jeszcze, że nie pragnę przy ich pomocy pomniejszać rzetelnego trudności autora „Profilów i pretekstów”, włożonego przezeń w erudycję i komparatystykę, w to wszystko, co, zapomniane przez wielu naszych młodych krytyków, należy jednak określić jako uczciwe, odpowiedzialne przygotowanie do recenzji, bądź eseju. Ale do prawdy chciałbym wyrwać Rogalskiego z klaszornej celi zapelnionej cieniami i dziełami starych, uznanych mistrzów literatury, postawić go w ogniu dyskusji i polemiki, pozwolić mu odechnąć tym, co pełne jadów i toksyn, składa się jednak na uroczną, narkotyczną dla każdego krytyka atmosferę współczesnego (nie — przeszłego, historycznego!) życia literackiego. Bo powołanie krytyka, to nie rozdroża literackie, nad którymi pochyla się on ze szkieletem i miarką badacza, z cyrkiem mierzącym odchylenia od przyjmowanego systemu filozoficznego, ale droga pełna uroków permanentnej niespodzianki i niemniej permanentnego ryzyka, po której stąpa on krok w krok z ocenianym pisarzem, słowem — drogą wielkiej i nierównanej przygody!

Zbigniew Pędziński

\* „Rzeczy Tyberiusza” — Capryjczyce wymawiają „Timberio”.



# Paryż na obrazach Gromaire'a

Przełożył BOGDAN OSTROMEŃSKI

W epoce atomu strzegą swego miejsca  
wyrósł ponad mroczne czasy  
w sercu wiernej stolicy  
kamienie głoszące wielkość rasy.  
Conciergerie zwrócona ku Sekwanie  
gdy brzeg w błękitnej wodzie się odbija  
swoich korzeni cichymi łukami  
i przez poetów Pont Neuf opiewany.  
I stąd ku morzu dalekiemu bieży  
zmienna fala z żalem miejsce zmieniająca  
która ogarnia w uściskach syreny  
swoją Paryż troski i pracy codziennej  
Paryż o szorstkich popękanych dłoniach  
szlochem i śpiewem dźwiękniętą budowę  
I zamieniają szeptem swoje słowa  
woda i każdy kamień stary  
Jest tylko jeden Paryż.

Paryż w zagłębieniu szlaków zbudowany  
Schronisko ludzi i wrota otwarte  
Fala płynie i w dłoniach przecieka  
Przegląda się niebo w zielonym jej zwierciadle.  
I trawą między starymi nadbrzeżami  
faluje Cité tu przycumowane  
do ładu stałego siedmioma kłami  
Siedem mostów napiętych nad jej snem ładownym  
siedem mostów jej stare grzechy dźwigających  
siedem mostów wspomnień jej chwalebnych strzeże  
siedem mostów by starą jej utrzymać wiedzę  
Wielki oddech się wzdyma i kołysze falą  
i z żalem serdecznym Sekwana płynie dalej  
ku brzegom przyszłości do ujścia dalekiego  
ku obietnicom dni które nadejdą.

Na tratwie klejnot budowniczych trwały  
przez wielką przeszłość czasom nowym przekazany  
płyną Notre Dame organy oślepiąco białe  
Róża miłości oprawiona w kamień.

Mężczyzna i kobieta powszednich dni naszych  
Staruszka ze swym wózkem małym  
Dziewczyna która o miłości marzy  
Dzieci co poetów się radością stały  
Okno rozśmiane

Piers wyschnięta

Usta męskie okrzykiem napięte

Wszystko co w żrenicach nosi Paryż znamie.  
Potem ten orszak zarysowanych kształtów  
Zakreśla czarny krąg obejmujący sekret nagi  
Forma gdzie życie dobrem darzy  
powstałym z surowego ograniczenia  
a miara na dwu skrzydłach się waży  
Wkracza prawo przejrzyste  
które wyznacza linie górnych granic  
gluchemu wrzeniu głębin  
i przez ten dumny taniec spełnia się równowaga  
linie przenoszą wzrok barwa zachwyca  
O tajemnico, z którą obeują poeci  
tu spełnia się sens geometrii  
porte-parole życia.

Jak między brzegami potoku rwący nurt  
trzyma się tego co go samego krepuje  
tak mistrz — sternik żywych wód  
dzikich fal zryw dłońmi poskramia  
i nad burzą którą odtwarza panuje  
Grzmi rzeka i mętne fale toczy  
A wichry same rozstrzygają z dala  
o rozpasanych porywach swej mocy

Gdy przekroczą granice

kataklizm przez kraj się przewala

Już z rykiem rzeka się zrywa

i w oczach brzeg rozwala

W głębie którą pręgami znaczą błyskawice

jaskini rozwiera się głab

Lecz malarz podniósł dłoń

I wielka fala odplywa.



Rzeźbił Robert Juvin

Suzanne Arlet Anticipation

## Suzanne Arlet

KONRAD EBERHARDT

Dwa lata temu, w Paryżu, przedstawiono mi pani niewysokiego wzrostu, o gładko zaczesanych włosach i śmiejącym się spojrzeniu. Wiedziałem, że jest Francuzką, a jednak przemówiła wymięniętą polszczyzną. Interesowała ją zarówno poezja jak i teatr w Polsce. Dopiero później dowiedziałem się, że przetłumaczyła wiele wierszy Mickiewicza i Słowackiego, choć sama pisze i wydaje w języku francuskim.

Tak zaczęła się moja znajomość z wybitną współczesną poetką francuską, Suzanne Arlet. Odkryłem również tajemnicę jej świetnej znajomości polskiego: przyszła na świat we Lwowie i tam uczęszczała do gimnazjum. Później jednak wyjechała za granicę do Wiednia i do Paryża, z którym połączyły ją więzy uczuciowe i literackie. Któż w większym od niej stopniu przeniknął sekrety tego miasta, zakamarki muzeów, pamiętki dawnej i wielkiej tradycji kulturalnej, bliskie całej ludzkości. Wystarczy przeczytać poemat „Paryż na obrazach Gromaire'a z ostatniego tomu poezji, przepojony miłością do tego miasta, w którym każde pokolenie odkrywa jakiś skarb i zarazem samo pozostawia własne pamiętki.

W licznych zbiorach poezji Suzanne Arlet wydanych we Francji, takich jak „Source“, „Les silences chantent aussi“, „Terre à jamais“, odnaleźć można echa tradycji poezji francuskiej, jakiejś więzi kulturalnej łączącej pokolenia i głębokiego poczucia humanizmu. A równocześnie w poezji tej dochodzi do głosu ton bardzo osobisty, liryczny, kobiecy. Suzanne Arlet potrafi pisać o miłości. Nie na darmo swoje poetyckie zbiory opatruje stałym motto będącym trawestacją dewizy Kartezjusza: „Amo ergo sum“. „Kocham więc jestem“. Bogactwo swoich uczuć potrafi zamknąć w formie współczesna, bliska dzisiejszemu odbiorcy poezji.

Jednakże lekkałbym się określić Suzanne Arlet jako „poetkę kobiecą“. Przede wszystkim dlatego, że jej poezja nie podlega nastrojom, nie jest kapryśna —

przeciwnie, podporządkowana rygorom intelektu. Ta cecha staje się bardzo wyraźna w wierszach, które czerpią natchnienie z dzieł malarstwa lub rzeźby. Tam Suzanne Arlet wydaje się szczególnie daleka od poetyckiego efektu dla efektu czy nastroju, pragnie natomiast kluczem słowa poetyckiego odkryć sekret innych sztuk, przyświeca jej cel, którego nie lekkałbym się nazwać poznawczym.

I właśnie z tego zrozumienia sztuk plastycznych, malarstwa i rzeźby powstał ostatni zbiór poezji Suzanne Arlet pod wymownym tytułem „Voisinages“ — to znaczy sąsiedztwa, pokrewieństwa. A więc związki, jakie mogą powstać pomiędzy dziedziną skojarzeń słownych i tym drugim światem, atakującym ludzkie oko grą barw i pięknem form. Jest to swoisty pamiętnik poety obcujałego z arcydziełami współczesnych i dawnych mistrzów, relacje z wrażeń, jakich dostarczyły płótna Matisse'a, Gromaire'a, Picassa, Buffeta i wielu innych. I jeżeli istnieje pogląd, że poszczególne sztuki powinny strzec swych granic, nie wkraczać na obce terytoria, że wzajemnie nic o sobie powiedzieć nie mogą — to wystarczy przeczytać poezję z tomu „Voisinages“, aby przekonać się, jak bardzo pogląd ten jest mylny.

Gdy Suzanne Arlet pisze o malarstwie — poezja nic nie traci na tej „zależności“ od plastyki, wręcz przeciwnie, pogłębia się. Poetka sięga do jakiejś „materii pierwszej“, z której powstaje zarówno obraz jak i wiersz, tworzywa, którym jest nasz świat widzialny. Suzanne Arlet, podobnie jak Louis Aragon, zna tajemnicę wzajemnej zależności muzyki i kształtu, hamonii słowa i kompozycji barw. Jej wiersz „Życie i pogrzeb Ferdynanda Légera“ jest jednym z najpiękniejszych wierszy o malarstwie we współczesnej poezji francuskiej.

Największy czas przedstawić publiczności polskiej tę wybitną pisarkę, w której świadomości twórczej echo strof Słowackiego towarzyszy poezjom Musseta i Rimbauda.

Oprócz szeregu zbiorów poezji Suzanne Arlet opublikowała drukiem powieść, liczne nowele, przekłady i eseje.

STEFAN ZARĘBSKI

Przyszli nocą.

Wściekle kopali w drzwi.

Kredens z porcelaną,

stół z narzuconą serwetą

były wtedy jakimś nieporozumieniem.

Łóżko stało pod ścianą

jak drwina.

Dojście spod okna do drzwi

trwa jednak dosyć długo,

by objąć czasem małą wieczność

i zrozumieć:

Ze kredens z porcelaną,

stół z narzuconą serwetą

nie tworzą tu właściwie dysonansu,

a łóżko też dobrze stoi

pod ścianą.

Ze znowu przyjdą nocą.

Wściekle zakopią w drzwi.

Warunki konkursu

1. W konkursie może wziąć udział każdy, kto nadesłanie w określonym terminie jeden lub kilka utworów nigdzie dotychczas nie drukowanych. Objętość każdego utworu nie powinna przekraczać 30 stron maszynopisu.

2. Wydawnictwo „Nasza Księgarnia“ zastrzega sobie prawo pierwszeństwa w publikowaniu nagrodzonych i wyróżnionych prac (przewidziane jest wydanie we wspólnym tomie wybranych z konkursu utworów). Autorzy otrzymują za publikowane utwory oddzielne honorarium według obowiązujących stawek.

3. Ustanawia się następujące nagrody: I nagroda — 12 000 złotych; dwie II nagrody — 7 500 złotych; trzy III nagrody po 4 000 złotych.

Ponadto przewiduje się 10 wyróżnień po 1 500 zł. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

4. Skład jury konkursu zostanie podany w późniejszym terminie.

5. Termin zamknięcia konkursu upływa 1 czerwca 1959 roku. Obowiązuje data stempla pocztowego.

6. Podpisane godłem prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem: Państwowe Wydawnictwo „Nasza Księgarnia“, Warszawa, ul. Spasowskiego 4. Do każdego koperta winna być dołączona zamknięta wisko zawierająca wewnątrz imię, nazwisko oraz dokładny adres uczestnika konkursu.

## CAPRI

(Dokończenie ze str. 9)

siłą przemierzyla wzdłuż i wszerz i nigdzie w tej wędrowce nie widziałam cmentarza. Kiedyś o to zagadnęłam naszego już dość sędziwego gospodarza: „Tu u was na Capri chyba nie umierają ludzie, bo gdzieżbyście ich chowali?“

Filippo Esposito nie był zbyt elokwentny, ale za to znacznie więcej umiał wyrazić gestykulacją i mimiką. Spojrzał na mnie wymownie, podniósł nieco ramiona i ręce w górę, pokłuszył głową, co wszystko razem wzięwszy mniej więcej miało oznaczać:

„A po co mielibyśmy się śpieszyć w niewiadome, skoro tu na naszej wioskiej ziemi jest jak w raju?“

W taki oto sposób zawsze udało się nam porozumieć. Tylko w kwestii naszego wyjazdu napotykalimy duże trudności. Ze znaną powszechnie wlos-

ką serdecznością włączył nas niejako do swojej licznej rodziny. Był wyraźnie dotknięty, że pomimo wszelkich starań z ich strony i zabiegów, chcemy opuścić ten boski widok z domu położonego nieco na wzgórzu, to szlachetne wino, codziennie napełnione świeżo, a pochodzące z tego oto pola, na którym teraz stał ten wspaniały starzec, w granatowym fartuchu i z białej krawki opryskiwał jakimś płynem zielone liście winnej latorośli.

Również Fratello i Sorella nie chcieli się z nami rozstać. W momencie pożegnania wręczyli mi pakuneczek, który po powrocie do kraju długo radował mnie swoją zawartością.

Był tam rylec, jądrego używano w starożytności do tabliczek woskowych, pierścionek żelazny z kluczykiem, który — już nie wiem, czy do tajemnego sekretarza był przeznaczony, czy miał tylko wyrażać symbol wdarcia się do serca ukochanej. Jeszcze ślicznie opalizująca łożniczka, taka, jaką opisał Słowacki. Misły amulet egipski, kilka monet srebrnych, wazka, naczyn-

ko z terrakoty. Ten serdeczny zbiorok, był początkiem dość potem pokaźnej kolekcji, która powstała w ciągu kilkunastu lat, aż do momentu, kiedy została użyta siła niszczycielska w takim stopniu i w takich rozmiarach, że przed mioty nawet przywykłe do wielkich kataklizmów dziejowych tym razem uległy całkowitej zagładzie.

Irena Parandowska

## Konkurs literacki

Państwowe Wydawnictwo „Nasza Księgarnia“ i Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego ogłaszają pod hasłem „Piękno i trud nauczycielskiej pracy“ konkurs na drobne utwory literackie (opowiadania, nowele, wiersze) mówiące o współczesnej szkole polskiej, o pracy nauczyciela, wychowawcy i działacza oświatowego.



# Z CZASOPISM — NAJWAŻNIEJSZE

Od paru tygodni frontowe szpalty czasopism literackich są poświęcone III Zjazdowi PZPR. Na razie były to przede wszystkim powitania i zwycięże horoskopy w sprawach kultury. Omówienie problematyki zjazdowej niechybnie pogłębi się w miarę jej realizacji w praktyce społecznej, bo „jest to i będzie konkretna problematyka naszego życia społecznego w ciągu najbliższych siedmiu lat”. Artykuł redakcyjny „Nowej Kultury” z 22.III. postulatywnie uwydatnia to, co w sformulowaniach Zjazdu jest specjalnie cenne dla ludzi nauki i sztuki:

Wyraźnie i bezpowrotnie odrzucone zostały wszelkie „tendencje do rozstrzygnięcia sporów naukowych odgórnym komenderowaniem a nie rzetelną dyskusją”, próby ograniczenia poszukiwań artystycznych przy pomocy „administracyjnej ingerencji w sprawy warsztatu twórczego”...

Uwypuklone zostały kulturotwórcze walory swobodnej dyskusji, szerokości, różnorodności życia artystycznego i umysłowego

— stwierdza „Nowa Kultura”. Jest jednak rzeczą jasną, że

próby natomiast przemycania w życiu kulturalnym antysocjalistycznych treści politycznych napotykały odpór przy pomocy wszelkich środków właściwych walce politycznej.

Artykuł przypomina o aksjomacie, który zawsze był naturalnym fundamentem twórczości:

Nie można być twórczym, oryginalnym a nie związanym z życiem i głuchym na wymowę jego przeobrażeń.

Konkretne zadania społeczne, które III Zjazd Partii postawił przed twórcami, zostały sformułowane

w rezultacie wszechstronnej analizy polskiej sytuacji społecznej w dzisiejszym momencie historycznym. Trzeba pomagać społeczeństwu w wyzwalaniu się z pięćdziesięciu lat kapitalistycznej, pomagając w kształtowaniu nowej socjalistycznej świadomości, a tym samym w budownictwie socjalizmu.

Dla realizacji tych zadań aktyw intelektualny Partii winien zjednywać twórców teoretycznymi i politycznymi argumentami oraz swoją pracą organizacyjną w dziedzinie

masowego upowszechniania wartości naukowych i artystycznych wybieranych na zasadzie wyżej określonych światopoglądowych kryteriów.

Te komentarze „Nowej Kultury”, dotyczące zasady upowszechniania wartości artystycznych ukazują wyraźnie alternatywę, wobec której stoją twórcy.

Konkretnie można wyobrazić sobie swoją działalność kulturalną — mówi autor — według najbliższego nam chyba modelu oświeconych w Polsce XVIII w., których każda myśl

nasycona była potrzebą światła, racji wolnych od dogmatów, krytyki, wspierała się na znajomości najbardziej dojrzałych, nowatorskich osiągnięć ówczesnej nauki i smaku ukształconego przez kulturę wysokich wymagań świadomości estetycznej.

Pchnęli oni naród naprzód

przez swoją wierną konsekwencję wobec historycznie trafnie wybranych ideałów i nieublagany krytycyzm, uolę przezwyjętą błędów, zastoju, niedoskonałości.

Taka wola społecznie skutecznego, ideowo ukierunkowanego działania winna ożywiać i naszą działalność kulturalną. Tendencję do cywilizowania kraju przez ludzi oświeconych. Będzie to wola nowatorstwa, nie pozornego, abstrakcyjnego, ale wyrastającego z krytycznego rozpoznania tego, co rzeczywistość stare w naszym życiu społecznym. W XX wieku nie stawiamy problemów na głowie, nie tworzymy nowego „królestwa rozumy”, znamy już jego historyczne imię: ustroj socjalistyczny.

Autor artykułu wstępnego pt. „Wokół III Zjazdu Partii”, w nrze 12 „Życia Literackiego” zajmuje się analizą naszych „wad narodowych” i ich dzisiejszych konsekwencji. Z drugiej zaś strony uważa, że:

Polska nigdy dotychczas nie znajdowała się w lepszej pozycji. Mamy bezwzględne oparcie i zaufanie ZSRR i Chin, łączą nas przyjaźńskie stosunki ze wszystkimi ludowymi demokracjami, stabilizujemy swoje życie wewnętrzne, możemy teraz naprawdę głosić, iż idziemy ku lepszemu, zdolni jesteśmy poprawić byt naszego narodu. Możemy także z otwartym czołem powiedzieć, że Polska jest krajem wielkiej wolności osobistej obywatela, krajem, w którym nieustannie daje się dowód poszanowania godności ludzkiej, krajem, jedynym z bardzo niewielu na świecie, w którym nie ma węgłków politycznych. Jesteśmy także krajem wielkiej swobody artystycznej, mimo kilku nosów spuszczonej na kwintę.

No, trzeba przyznać, że jest to bardzo obowiązujące stwierdzenie — obustronne noblesse oblige. Nie podoba mi się tylko w dalszych rozważaniach autora porównanie naszej sytuacji z okresem Wielkiej Rewolucji Francuskiej (nb. do niedawna zwanej u nas francuską rewolucją burżuazyjną).

kiedy to ważył jedynie głos intelektualistów, humanistów zolascza. Znaczenie głosu artystów i pisarzy

włona na pewno przez kogoś, podchodzi po odczycie i pyta: „Pan Bernanos, czy to prawda, że pan widział diabła i że pisze pan w „Słóńcu szatańskim” o prawdziwym zdarzeniu?” „Ach, tak, proszę pani”, odpowiedziałem. „Upowiedział mi na nawet, że w Algierze będę miał przyjemność spotkać szanowaną panią”.

Atmosfera się rozładowała od razu. Nie mówiliśmy już więcej ani o zamachu majowym, ani o pułkowniku de la Roque, który chętnie użyłby tej samej metody... i wkrótce użył, ale bez powodzenia.

Kochany Georges! Gdyby żył dzisiaj — a miałby dopiero około siedemdziesiątki. Nie zdążył wylądować niewyczerpanych zapasów swego temperamentu.

Edward Ligocki

jest wyolbrzymione i obie strony, pisarze i artyści z jednej, a władze z drugiej — przywiązują do tego zjawiska przesadne znaczenie.

Autor dodaje:

Być może tak musi być w społeczeństwie o piynnej i niedojrzałej jeszcze kadrze „technokratów”...

Wynikałoby stąd, że, zdaniem autora, tej „niedojrzałej” kadrze mogą przyjąć ze skutecznym sukcesem nasi dojrzały „humanisci”. Tak czy inaczej, ukażmy lepiej pochopnych porównań, bo ten „ważki” głos francuskich intelektualistów czyż nie był uzależniony od nastrojów paryskich sekcji? Po co porównywać? Inne czasy, inna specyfika społeczna.

Summa summarum najbardziej miarodajny jest artykuł Włodzimierza Sokorskiego pt. „Trzeci Zjazd PZPR”, w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr z 19.III). Stwierdzając, że sensem politycznym Zjazdu było ostateczne zamknięcie, „w twardej i wyraźnych słowach, okresu „burzy i naporu” zarówno rewizjonizmu jak i dogmatyzmu”, autor podkreśla, że większość przemówień miała charakter „pracy od podstaw”, konkretnej pracy w swoim województwie.

Co do sprawy nauki i polityki kulturalnej, to — pisze W. Sokorski —

Może nawet nigdy dotąd sprawy nauki i kultury nie były tak zasadniczo potraktowane jak właśnie na tym Zjeździe i to zarówno w referacie, jak i w dyskusji. Zjazd nie pozostawił żadnej wątpliwości, że niezależnie od szerokości frontu w zakresie upowszechniania postępowej i humanistycznej kultury, partia stawia przed sobą konkretny cel zbudowania kultury socjalistycznej, i to zarówno w treści, jak i w formie.

To „jak i w formie” mogłoby stać się przedmiotem niepokojących interpretacji, gdyby w dalszym ciągu artykułu nie znalazły się słowa:

„uchwały wyraźnie stawiają problematykę kulturalną w płaszczyźnie światopoglądowej, a nie formalnej. W płaszczyźnie aktywnej ułączenia się twórców do zagadnień współczesnego człowieka, do wielkiej akcji upowszechnienia kultury, a nie w płaszczyźnie doktrynalnej i normatywnej estetyki”.

Przy tym sformułowaniu zasady któż rozsądny nie przyzna jej słuszności? Teraz będzie chodziło głównie o sposoby jej realizacji „u podstaw”, bo dążymy przeciw do decentralizacji.

m. b.-r.

## ENCYKLOPEDIA czy INFORMATOR

(Dokończenie ze str. 4)

kup towarów, jak przedstawia się konsumpcja maki, cukru, mięsa itd., jak kształtują się ceny w poszczególnych powiatach, ile i jakich mamy sklepów itd. Dużo ciekawego materiału dostarcza tabela na stronie 52, informująca o liczbie mieszkańców w poszczególnych powiatach z rozbiorem na wieś, miasto, mężczyzn i kobiety, podająca następnie zagęszczenie ludności, liczbę urodzeń, zgonów i przyrost naturalny.

Pod adresem działu „ABC miast”, który podaje krótki rys historyczny czołowych miast naszego województwa, trzeba wysunąć postulat, by czytelnik mógł dowiedzieć się nie tylko o dawnych losach tych miast, ale i ich sytuacji obecnej, jak również aktualnej liczebności mieszkańców.

W dziale pt.: „Pożyczki karty mówią” — obok rzetelnych i obszernych informacji żenująco wygląda czterozdaniowa notka o pierwszej drukarni lubelskiej. Podobnie jest i w następnym dziale pt. „Ludzie lubelscy”, gdzie przy czterech obszerniejszych szkicach (Czechowicz, Junosza-Szańkowski, Lutniacy lubelscy i Namysłowscy) raz krótko notka o Szymonowiczu.

Wydaje się, że dział ten konieczne wymaga więcej miejsca, by mógł popularyzować znanych pisarzy, działaczy społecznych i innych wybitnych ludzi, jakich wydała i wydała Ziemia Lubelska.

Uzasadniony sprzeciw musi budzić dział literacki, w którym trudno doszukać się jakiegś myśli przewodniej. Dobór pisarzy jest tu przypadkowy: J. Czechowicz i obok E. Cichia (chyba lekka przesada?), E. Gołbiewski, W. Gratewski i J. Danielak — to już wszystko. Nie ma najmniejszego nawet wzmianki o pracy Lubelskiego Oddziału ZLP, nie wiemy, co piszą i co wydają nasi literaci, a to przecież powinno być punktem wyjścia. Kto wie, czy nie należałoby także sygnalizować ich pozycji, ukazywać sylwetek, a dopiero wtedy można by pokusić się o drukowanie w kalendarzu drobnych utworów czy fragmentów większych całości. Powinno nam przecież zależeć na tym, by społeczeństwo Lubelszczyzny znało swoich twórców, a w tym zakresie prasa i „Kalendarz Lubelski” nie wykazują większej aktywności.

Nieporozumieniem i to grubszego kalibru trzeba nazwać dział sportowy w opracowaniu G. Tańskiego. Oto zawartość tego działu:

JERZY KSIĘSKI

## Niedzielny spacer

Te przeróżne odcienie szarości to jest właśnie kolorowość świata, to jest właśnie kolorowość spokojna.

Tak jest dobrze i tak jest najprościej jakby chory obumarł organ;

Wszystko zatem jest najwyklesze.

Koło ciebie przechodzi z uśmiechem, pomalutku, łagodnie jak obłok obojętność — bardzo chłodna pani.

Szukamy się wszyscy bez przerwy. Zaglądamy kawiarniom w twarze odnajdując popękane lustra.

Nocą miasto ma chore nerwy, nocą miasto wypieki ma czarne i powieki błonowe i usta...

EUGENIUSZ ZARZYCKI

## Bociany

Witam je rzeką spienioną  
Topniejących w piersiach  
Lodowców.  
Żegnam strumieniami  
Nadziei  
— Do wiosny!..  
Błogosławione skrzydła  
W których locie nie słyszę  
Rozstrzelanego nieba.  
Własne serce oddałem na przystań  
Srebrnym obłokom  
Z ufnością patrzę  
— Mileżąc  
W zawieszonych nad moim domem  
Lotnisk —  
W spokój..  
Wyrosłem z dzieciennych  
Bajeczek  
Ale zawsze nazywać je będę  
Nosicielami życia.

lu: piłka nożna, boks, kolarstwo i lekkoatletyka — skwitowano to bardzo ogólnikowo, 3-stronicową informacją, inne zaś dyscypliny zostały „odfajkowane” przy pomocy 1-2 zdań. Wiele dyscyplin sportu nie zostało nawet wymienionych, nie poznamy stąd nawet nazw czołowych klubów sportowych Lubelszczyzny, mistrzów okręgu itd.

Z aprobatą trzeba powitać wprowadzenie do Kalendarza kroniki najważniejszych wydarzeń Lubelszczyzny w 1958 roku. Chodzi tylko o to, żeby te wydarzenia były rzeczywiście najważniejsze. Trudno uwierzyć np., że do takich wielkich wydarzeń należy 7.V.1958, w którym w ramach finału konkursu erudycji „Omnibus” w Klubie ZPPKPiR w Lublinie — M. Komendecki zdobył pierwszą nagrodę. Chyba jednak znajomości tego typu dat historycznych nie będzie się wymagać od kandydatów na wyższe studia w najbliższym roku? Po zaznajomieniu się z tą kroniką dojdziemy do wniosku, że albo mało się u nas dzieje, albo też autor kroniki wielu istotnych rzeczy nie dostrzegł. Najważniejsze wydarzenia Lubelszczyzny nie ograniczają się przecież do sesji WRN, plenów KW PZPR, premier teatralnych, kilku międzynarodowych spotkań sportowych i koncertów z udziałem wybitniejszych artystów oraz niektórych rocznic. Dziwna jest zwłaszcza polityka w zakresie tych rocznic. Jeżeli się np. dostrzeżę 10-lecie KPFWM w Kraśniku, to może warto zauważyć i 15-lecie UMCS lub 20-lecie Chóru „Echo”. Jeżeli zaś pisze się o przejeździe do Lublina artystów lwowskich, to warto również pamiętać i o zagranicznych wyjazdach naszych aktorów. Pod datą 19.III. znajdujemy notkę o odznaczeniu Srebrnymi i Złotymi Krzyżami Zasługi 18 kobiet — działaczek społecznych, a gdzie na przykład laureaci nagród wojewódzkich Lubelszczyzny?

Do starych stron Kalendarza należy dział rozrywkowy, nie mający nic wspólnego z Lubelszczyzną. A przecież przez wprowadzenie zadań o tematyce regionalnej zmusiłoby się czytelnika do sumiennej lektury Kalendarza i jednocześnie zdobywania wiedzy o naszym województwie.

Staby jest także porad dla rolników (chmielek, tytoń) i przypomnienie dla sadowników — bardzo skąpe, rok pracy w ogrodzie — to strona w kalendarzu. Ten ostatni dział, a właściwie jego pozostałość, zmusza do zastanowienia się nad koncepcją Kalendarza, do rozstrzygnięcia problemu: czy ma on być klepską encyklopedią czy rzetelnym informatorem regionalnym? Trzeba z satysfakcją stwierdzić, że wydawcy wybrali słusznie te drugie drogi, usuwając dział porad masyścijskich, weterynaryjnych i innych. Na bene Kalendarza należy też zapisać bogactwo ilustracji i mełżęzająć nię w 1958 roku liczbę ogłoszeń, w dodatku nie skupionych, ale rozrzuconych po całej książce. Do największych zdobyczy należy natomiast próba usystematyzowania materiału, wprowadzenie statych działów i solidnej treści. Wydaje się, że ta droga „Kalendarz Lubelski” iść bezwzględnie powinien. Warto, żeby następnę lata mogły dorzucić nowe nazwiska, fakty i materiały do niektórych przynajmniej działów. Jak np.: „Abecadło Lubelszczyzny”, „Pożyczki karty mówią”, „Ludzie Lubelszczyzny” i innych rubryk, wprowadzonych już na stałe do Kalendarza. Nam natomiast nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć Kalendarzowi, by znalazł się w każdym lubelskim domu.

R. R.

## Georges Bernanos

(Dokończenie ze str. 3)

przez cały dzień, wertowaliśmy razem książkę Władysława Sikorskiego „O przyszłej wojnie” i przedmowę do niej, pióra marszałka Focha. Tematy polskie, dla niego, noszącego wciąż w sercu kult Ślenkiewicza, były szczególnie bliskie. Drogi, na które weszła Polska po zamachu majowym, niepokoiły go wciąż. Mówił kiedyś o nich długo, gdyśmy pojechali z nim razem odwiedzić starego senatora Coty, ojca późniejszego prezydenta Francji, w Louveciennes pod Paryżem, w pawilonie madame Du Barry, umebłowanym dla niej przez Ludwika XV, nietkniętym od tego czasu.

Bernanos widział lepiej niż inni Francuzi, do czego doprowadzi hitleizm, Twierdził, że III Republika nie da sobie z nim rady i że zmarnuje swój atut polski — jak zmarnował już raz Bonaparte.

Senator Coty, korsykanin, usiłował bronić Napoleona, jak zresztą wszyscy z tej wyspy. Zwaryli się dwa temperamenty — hiszpański Bernanosa i korsykański Coty'ego. Autor „Słóńca szatańskiego” był jeszcze bardziej agresywny niż zwykle.

— Georges, diabła masz dziś za skórą — powiedział stary senator.

Bernanos zawsze umiał wycofać się z dyskusji. Miał zawsze w porządkiem to, co Francuzi nazywają „darem r'pisty”.

— Diabła? I pan senator to mówi? Przypomnia mi się jedno zdarzenie. Miałem niedawno odczyt w Algierze i jakaś stara płuśka kościelna, podmó-



**POCZUCIE JEZYKOWE.** Pp w kąciku Jezykowym „Trybuna Literackiej” (nr 10) kwestionuje „poczucie jezykowe” jako sprzeczny wyraz. Nie mozna jednak znalezc w slownikach jezykowych wyrazu „typowac”, opiera sie na wlasnym poczuciu jezykowym (lojalnie przyznaje sie do niekonsekwencji), ktore pozwalia mu uznac ten wyraz za poprawny. Istotnie, wyrazu tego w slownikach nie ma, ale dlatego wlasnie, ze powstal on stosunkowo niedawno (niezapomniany u Srobera znalazly sie on obok hasel: typ, typowy, ale w r. 1937 jeszcze sie nie narodzil). Jest to nowotwor powojenny, a wedlug mojego poczucia jezykowego, nowotwor zlosliwy, ktory nalezy usuwac. Niestety, nie moze sie powolac na zadne autorytety, chyba ze na wydane na prawach rekopisu dla wydzialu dziennikarskiego Szkoły Partyjnej przy KC PZPR „Zasady adiacji dziennikarskiej” (Warszawa 1950). Anonimowy autor tej broszury na str. 38 radzi: zamiast „wytypowac” lepiej jest uzyc slowa „wybrac”, „wyznaczyc” lub „zapropnozowac”. I czy w Totalizatorze Sportowym zamiast „Typuj szescielwie” nie brzmialoby lepiej — „Wybierz szescielwie”?

**POETA O DWÓCH POETACH.** O M. Bialoszewskim w n-rze 7 „Przeglądu Kulturalnego”: „Jeden z niewielu autentycznych i oryginalnych poetów w Polsce”, „przepowiadam, że „Rachunek zachciankowy” stanowić będzie kiedyś przedmiot studiów jezykoznawców i psychologów mowy”. O Z. Krasińskim w n-rze 10 „Zycia Literackiego”: „Nieboska” wydaje mi się genialnym kiczem. Obok ciekawych i śmiałych pomysłów — prowincjonalna ciasnota, rozumowanie i wylizowanie na poziomie umysłowym zakrytym, „Irydion” — nieznośna i pusta bombastyka. Przy najlepszej woli nikt tego dziś nie wytrzyma ani w czytaniu, ani w sluchaniu ze sceny”, Sici Roma locuta...

*odpowiedzi redakcji*

P. P.  
K. Koc w Borowinie-Uroczysku. Pański deklaracyjny list został skierowany pod niewłaściwym adresem: „Kamena” nie propaguje tego, co Pan nazwał „nową poezją”. Zamieszczamy utwory bez względu na to, czy są pisane według tradycyjnej konwencji, czy też najbardziej wolnym wierszem. Jedynym naszym kryterium jest zrozumiałość utworu i jego wartości artystyczne. Z Pańskich na ogół słabych próbek najlepsza chyba „Topola”.

T. Stol w Wadowicach. Odpowiadamy wyłącznie w tej rubryce. Po debiucie w „Kamieniu” powinien Pan mieć ułatwiony dostęp do innych pism. Nas tu zeszłą bombardują wierszami, a lekkomyślnie daliśmy zbyt wiele obietnic dotąd nie spełnionych. Prosił Pan o podanie w przybliżeniu czasu wydrukowania „Widzenia”: rok 1959. A „Bóg” w języku polskim piszemy wielką literą (wiersz „Jedna noc w niebie”).

E. Bar w Peraju. Podobają się nam oba wiersze Pani. Zatrzymujemy „Epitafium”. Wypadnie drugo czekać.

Dion. Mal w Ostrołęce. Zyska Pan na tym, że zamiast „Baśni prowincjonalnej” zamieścimy „Na ziemię rozkwitła ziarnem życia”. Z innych wierszy, z których nie skorzystamy, do lepszych należą „Do córki” i miniatury o śmierci matki: przeżyte, szczerze i ludzkie. W wierszu „Tobie” — błąd jezykowy: powinno być — „prawa cieżkość ciebie nie dotyczy”.

Barb. Sad. w Warszawie. „Szansę” są nie wymagają długiej cierpliwości. Zatrzymujemy „Na przestrzeni”. W wierszu „Po-przez” — germanizm: „zaistnieć”.

Rysz. L. w Świdnicy. Si. Próbkę bardzo typową — szarpaną wewnętrzną: z jednej strony tęsknota do „Nowej Oazy”, „wierzę w lepsze życie”, „ironii usmiechem nie naprawisz zła”, z drugiej — „ja duch polski” — tużycy w ciebie, ideał najszlachetniejszy i niepotrzebny” (podkreślenie nasze). Brak dyscypliny, rozgadanie, prozaitym, wpadanie w śmieśność („samica zwozdi żółtodzioba”, „trzęć głowę w pokutniczą przyczę”) i w banały („Usmiechem”). Na razie — mgławica, z której w przyszłości może się coś wyłoni, bo są szersze momenty (dwie pierwsze zwrotki „Noc”).

Miecz. Nos. w Terebieniu. Brednie! Trawestacja „Ody do młodości” — koiny z Mickiewicza. Prosimy nas więcej nie niepokoić.

Bron. Fast. w Krasnymstawie. Może coś z tego będzie w przyszłości. Radzimy czytać poezję: klasyczną i współczesną.

K. E. S. w Stawie. Może zamieścimy „Ciepły deszcz”.

Wład. Bar. we Wrocławiu. W Pańskich próbkach są mikroskopijne zarodki poezji.

W. Irzyk. w Oławie. No i po co Pani pisać „patetyczne tamisłowski”, nikomu niepotrzebna abrakadabra, umiatac jednocześnie napisać taki wiersz, jak „Modlitwa żyjących”? Zatrzymujemy ja, nie czy i kiedy zamieścimy, trudno nam orzec wobec obfitej wierszy od dawna czekających na druk.

Raf. Orł. w Kolumnie. Wydaje nam się, że w związku z tą łódzką nagrodą na Pańskie możliwości zamieszczenia tych utworów w którymś z pism w Łodzi. My natomiast, nie mamy miejsca. Dziękujemy za serdeczne pozdrowienia i przesyłamy je nawzajem.

**ESPERANTO NA SCENIE WARSZAWSKIEJ.** Na Światowym Kongresie Esperantystów, który odbędzie się w Warszawie w dniach od 1 do 8 sierpnia r.b. dwa zespoły teatralne (graska „La Verda Caro” i paryski Międzynarodowy Teatr Artystyczny) wystawią w Sali Kongresowej dwie sztuki w języku Esperanto: pierwszy — „Pygmaliona” B. Shawa, drugi — „Szelmowstwa Skapena” Moliere.

-kaj-

## KONKURS na powieść

1. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza i Redakcja „Kamena” ogłaszają otwarty Konkurs na powieść historyczną lub współczesną, oryginalną, dotąd nigdzie nie drukowaną, o rozmiarach ponad 200 str. maszynopisu z normalnym odstępem.

2. Tematyka powieści — związana z Lubelszczyzną.

3. Nagrody będą następujące:

- I — 20.000 zł
- II — 15.000 zł
- III — 10.000 zł

oraz dwa wyróżnienia po 2.500 zł

4. Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznania lub podziału poszczególnych nagród.

5. W konkursie może wziąć udział bez ograniczeń każdy polski pisarz. Liczba prac jednego autora nie jest ograniczona.

6. Skład Sądu Konkursowego: Trzech przedstawicieli Zarz. Głównego ZLP. Dwóch przedstawicieli Lubelskiego Oddziału ZLP. Dwóch przedstawicieli LSW.

7. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa w dniu 31 marca 1960 r. W spornych wypadkach decyduje stempel pocztowy.

8. Utwory na Konkurs należy nadsyłać w trzech egzemplarzach (czytelny maszynopis). Utwór powinien być podpisany obranym godłem. W kopercie z maszynopisem powinna się znajdować druga koperta zamknięta, zawierająca nazwisko i imię autora oraz jego dokładny adres.

9. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo drukowania prac nagrodzonych jak również i nie nagrodzonych i nie wyróżnionych. Za druk prac nagrodzonych i innych wypłacone będzie honorarium wg przyjętych stawek.

10. Wszystkie prace nadsyłać należy do Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej — Lublin, ul. 3 Maja 14.

## O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Nr 7 „Kamena” (marzec 1934) na pierwszym miejscu zawierał aktualny przekład K. A. Jaworskiego „Głowy” E. Verhaerena. Pod wierszem w czarnej ramce zamieszczono następujące oświadczenie: „Niezłomnemu bohaterstwu robotników, którzy w obronie wolności ginęli na barykadach Wiednia, Linzu, Steyera i innych miast austriackich — Meczestwu Mönichreitera, Weissa, Wallacha i ich towarzyszy, którzy mężnie śmieć hańbiącą po wielki ich katów, przyjęli — Niewinnej krwi starców, kobiet i dzieci, ofiar zwiastującego okrucieństwa, rozszarpanych przez kule armatnie Heimbry — hołd składa redakcja „Kamena”. Prócz tego w zeszytach marcowym znajdowały się wiersze J. Łobodowskiego, J. Przybosa, A. Rymkiewicza, J. Korczakowskiej, C. Miłosza, W. Kasperskiego i W. Czerwińskiego, pierwsza część artykułu St. Czernika „Treść i forma”, przekłady K. A. Jaworskiego z poezji ukraińskiej (Szewczenko, O. Oles, Fedkowicz, Rylski, Tyrcyna, Kosacz, Lepki, Malaniuk i Krawcziw), kronika ukraińska, kolumna najmłodszych (debiuty C. Morawskiego i Z. Popowskiego), tłumaczenie J. Mondschajna wiersza Langstona Hughesa „Zilczowany kochanek”, przegląd książek najnowszych (J. N. Kłosowskiego), noty i rubryka Pro urbe sua. Numer zdobyła wkładka linorytowa Zenona Wasniewskiego „Fragm. z Górki Katedralnej w Chełmie”.

## KSIĘGARSKIE nowaliki

Ostatni serwis nowości wydawniczych nie zawiera wprawdzie pozycji rewelacyjnych, ale obejmuje szereg książek oryginalnych i wartościowych zarówno z działu twórczości rodzimej, jak i literatury przekładowej. Najoryginalniejszą zaś z nich jest bezsprzecznie autentyczny przekaz anonimowego autora (Azteka — świadka opisywanych wydarzeń) o podboju Meksyku przez H. Corteza. Wydany przez „Ossolium” pt. „ZDOBĄCIE MEKSYKU” (opr. płóc., c. z. 28, nakł. 4.500) i zaopatrzonej przez tłumacza (T. Milewskiego) w wyczerpujący komentarz jest najważniejszą pozycją źródłową dla tego momentu historycznego, a nadto niezwykle ciekawą próbą wprowadzenia czytelnika w tajniki egzotycznej kultury Azteków.

„Iskry” daty nam przekład jednego z czeckich bestsellerów ostatniej doby. Jest nim powieść Valji Styblovej pt. „NOC BYŁA MOIM SĘDZIĄ” (opr. brosz., c. z. 19, nakł. 10.000), spolszczona przez J. Bulakowską. Tematem książki jest tragiczny konflikt wewnętrzny młodego studenta medycyny, przeżywającego wskutek wyrzutów sumienia koszmarną noc po mimowolnym zabójstwie własnej siostry.

W PIW-ie ukazał się (w przekładzie I. Piotrowskiej i in.) tom interesujących opowiadań radzieckiego pisarza — Aleksandra Grina (z pochodzenia Polaka — Grinińskiego) pt. „PIEKŁO ODZYSKANE” (opr. brosz., c. z. 18, nakł. 5.000) o tematyce przygodowej. „Czytelnik” natomiast udostępnił polskiemu odbiorcy — powieść W. Kawierina „SPELNIONE ŻYCZENIA” (opr. brosz., c. z. 21, nakł. 3.000), przedstawiającą życie inteligencji radzieckiej w ostatnim okresie NEP-u. Przełożona przez M. Popowską powieść ta ma posmak z lekką sensacyjno-kryminalną.

„Wydawnictwo Literackie”, kontynuując konsekwentnie swą serię pamiętnikarską, wydało ostatnio napisane bardzo szczerze pamiętniki słynnej w pierwszym ćwierćwieczu naszego stulecia tancerki — Izadory Duncan pt. „MOJE ŻYCIE” (opr. brosz., c. z. 25, nakł. 15.000) w tłumaczeniu K. Bunsch.

Ze wznowień literatury przekładowej wypada zapowiedzieć nowe wydanie bardzo poczytnej w okresie międzywojennym powieści Pearl Buck „SPOWIEDŹ CHINKI” (w tłum. W. Kragen, LSW, opr. brosz., c. z. 15, nakł. 20.000), która mimo poważnej dezaktualizacji fabuły i ta obyczajowego nie utraciła swych walorów literackich.

Liste nowości księgarskich, które wyszły spod pióra polskich autorów, rozpoczną od oryginalnej, choć objętościowo niepokaznej

powieści Magdy Leja „HISTERYCZKA” (Iskry, opr. brosz., c. z. 5, nakł. 5.000) atakującej konsekwentnie problemy obyczajowe współczesnej młodzieży. Wydana w „Czytelniku” nowa powieść A. Jackiewicz pt. „SMIERĆ DONZUANA” (opr. brosz., c. z. 13, nakł. 1.000) stanowi psychologiczne studium końcówki życia starzejącego się, chorego zachowującego pozory starca za wszelką cenę zachować pozory pełni sił i własnej „ważności”. W tymże wydawnictwie ukazał się nowy tom opowiadań M. Jarochońskiej pt. „NAJGOR-SZA CHWIŁA ŻYCIA” (opr. brosz., c. z. 13, nakł. 5.000), zawierający kilkanaście utworów o problematyce moralno-obyczajowej i o głębokim podłożu psychologicznym.

Ciekawą również pozycją są utrymmane w nastrojowym, melancholijnym tonie opowiadania St. Kowalewskiego, wydane przez PIW pod wspólnym tytułem „GODZINA ZWYCZAJONYCH” (opr. brosz., c. z. 15, nakł. 5.000), z których najbardziej reprezentatywna dla twórczości autora jest powieść „Wielki wódz”.

W ramach swej poczytnej serii „Naokoło świata” rzuciły „Iskry” na rynek tom wnikliwych reportaży B. Bielińskiej o Szwajcarii pt. „POTOMKOWIE TELLA” (opr. brosz., c. z. 13, nakł. 10.000).

„Wydawnictwo Morskie” zaś wydało trocic historyczną, a bardzo sensacyjną, najnowszą powieść naszego marynisty St. Sierackiego pt. „CIESNINA KAPITANA KIDDA” (opr. brosz., c. z. 19, nakł. 10.000), której bohaterem jest Polak, wpłany w tradycyjną awanturę poszukiwania skarbów i w wyniku tego biorący czynny udział w ostatniej fazie walk narodu amerykańskiego przeciw W. Brytanii o uzyskanie niepodległości.

Drukowaną w ub. roku w odcinkach „Przekroju” powieść sensacyjną S. Lema „SLEDZTWO” wydało w postaci książkowej wydawnictwo MON (opr. brosz., c. z. 19, nakł. 50.000). W tymże wydawnictwie ukazał się pamiętnik W. Krzemieńskiego pt. „PIĘĆ LAT Z HAKIEM” (opr. brosz., c. z. 19, nakł. 10.000), zawierający wspomnienia b. podchorążego WP z pobytu w niemieckich obozach jeńców wojennych przez cały okres trwania ostatniej wojny.

Z literatury „najbliższej” ukazał się w najbliższych dniach na półkach księgarskich wydana przez Wyd. Poznańskie w ramach serii PAS nowa powieść kryminalna M. W. Sierackiego pt. „TAJEMNICA ZA KAŻDYM DRZWIAMI” (opr. brosz., c. z. 12, nakł. 30.000).

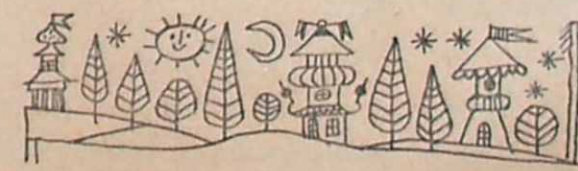
LSW wznowiła popularną w okresie międzywojennym powieść M. Rusinka pt. „BURZA NAD BRUKIEM” (opr. brosz., c. z. 14, nakł. 8.000).

Na zakończenie awizo o następujących z kolei tomach z cykłów: — „PISM” T. Boya-Zeleńskiego — tomie XVII („Felietyon” t. 2) — w PIW-ie (opr. płóc., c. z. 24, nakł. 10.000 — subskrypcja) oraz „DZIEL” W. Sieroszewskiego — tomie VIII („Zacisze”) — w Wyd. Literackim (opr. pl., c. z. 22, nakł. 10.000).

Nowinkarz

## KSIAŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

- Bernard Szajnert: Chwila ahistoryczna. Wyd. Łódzkie, Biblioteka poetów 1958.
- Ludwik Świdziński: Sosna Grotigera i Jesień. Wyd. Łódzkie, Biblioteka poetów 1958.
- Grzegorz Timofiejew: Gorycz wierzby. Wyd. Łódzkie, Biblioteka poetów 1958.
- Sydyr Rey: Pieśni mówione. New York 3, N. Y. Saint Marks Printing Corporation, 1945.
- Marian Plezia: Od Arystotelesa do „Złotej legendy”. PAX 1958.
- Władysław Jan Grabski: Świat na podarunek. PAX 1954.
- Aleksander Rymkiewicz: Bruzdy boskich plugów. PAX 1958.
- Almanach „Szczecin literacki”. Związek Literatów Polskich 1958.
- Seweryn Gosiński: Zamek Kaniowski. Biblioteka Szkolna PIW, 1958.
- Bolesław Prus: Placówka. Biblioteka Szkolna PIW 1958.
- Zygmunt Krasiński: Irydion. Biblioteka Szkolna PIW 1958.
- Aleksander Fredro: Pisma wszystkie, tom VII (Wielki człowiek do małych interesów, Wychowanka, Dwie blizny) PIW 1958.
- Alina Brodzka: O nowelach Marli Konopnickiej. PIW 1958.
- Stanisław Dygat: Podróż, wyd. II. PIW 1958.
- Wacław Mrozowski: Drugi bóg. PIW 1958.
- Anna Kasprówicz Jarocka: Poeta i miłość. PIW 1958.
- Witold Wandurski: Wiersze i dramaty. PIW 1958.
- Sterne: Podróż sentymentalna, przełożyła Agnieszka Glinczanka. PIW 1958.
- Byron: Don Juan, przełożył Edward Porębowicz. PIW 1959.
- Mary Webb: Miłość Prudencji Sarn, przełożyła Bolesława Kopelówna. PIW 1958.
- Karol Capek: Osem twarzy mistrza Fołtyna. PIW 1959.
- Jurij Olesza: Zawisć, przełożył Adam Gabis. PIW 1959.
- Leonid Andrejew: Myśl. PIW 1958.
- Mikołaj Pomalowski: Obrazki z bursy, przeł. Jerzy Brzezicki. PIW 1959.
- Rajmund Radiguet: Bał w hrabiego d'Or... przeł. Krystyna Dolatowska. PIW 1958.
- Emil Zola: Nana, przeł. Zofia Marckiewicz-Karczewska. PIW 1958.
- Lilian Seymour-Tulasiewicz: Dag, córka Kasl. LSW 1959.
- Henryk Syska: Tajemnica białego habita. LSW 1959.
- Jan Stapiński: Pamiętnik. LSW 1959.
- Józef Ignacy Kraszewski: Adama Polanowskiego, dworzana Króla Imci Jana III, notatki. LSW 1959.
- Aleksander Patkowski: W hołdzie dla ziemi rodzinnej. LSW 1958.
- Daniel-Rops: Nokturny, tłum. Irena Józefowicz. Pax 1954.
- Włodzimierz Wnuk: Watka podziemna na szczytach. Pax 1958.
- Władysław Jan Grabski: Rapsodia świdnicka (I, II). Pax 1958.
- Blaise Pascal: Myśl, przekład Todeusza Zeleńskiego (Boya). Pax 1958.
- Paul Claudel: Umiłowanie Pisma Świętego, przełożył Piotr Lubiec. Pax 1958.
- Gustaw Morcinek: Dziewczyna z Champs Elysees. Pax 1958.
- René-Marill Albers: Bilans literatury XX wieku, przełożył Mieczysław Tazbir. Pax 1958.
- Jan Turowski: Utopia społeczna Ludwika Królakowskiego. Pax 1958.
- Ernst Wiechert: Missis sine nomine, tłumaczyła Maria Kłos-Gwizdzka. Pax 1958.
- Maria Konopiecka: Miłosierdzie gminy. LSW 1959.
- Henryk Syska: Nad Wisłą nad Bugiem. LSW 1959.
- Pearl S. Buck: Spowiedź Chinki, przekład Wandy Kragen. LSW 1959.
- Dyzma Gałaj: Powstanie Związku Młodzieży Wilejskiej RP „Wici”. LSW 1959.
- Michał Rusinek: Burza nad brukiem. LSW 1959.
- Stanisław Iłwoski: Widowska plenerowa. LSW 1959.



Rys. Jan Padée.

Na str. 1 i 2 rysunki Janusza Warpechowskiego